Nr. 2 CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62

KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

OD REDAKCJI

„S T E R" JEST ORGANEM ŻYDOWSKIEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ.
„S T E R" SŁUŻY SPRAWIE NARODOWEGO I SOCJALNEGO WYZWOLENIA ŻYDOSTWA.
„S T E R" DĄŻY DO ODBUDOWY ŻYDOWSKIEJ PALESTYNY NA ZASADACH PRACY I POKOJU.
„S T E R" WALCZY O RÓWNOŚĆ OBYWATELSKĄ I PRAWA NARODOWE DLA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ W POLSCE.
„S T E R" STOI NA GRUNCIE WSPÓŁDZIAŁANIA WSZYSTKICH SZCZERZE DEMOKRATYCZNYCH ŻYWIOŁÓW W PAŃSTWIE.
„S T E R" BRONI IDEI WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ I POKOJU.
„S T E R" ZWALCZA FASZYZM I ANTYSEMITYZM.
„S T E R" ODZWIERCIEDLA WSPÓŁCZESNĄ TWÓRCZOŚĆ LITERACKĄ I ARTYSTYCZNĄ.
„S T E R" KRZEWI ZAMIŁOWANIE DO ŻYD. KULTURY NARODOWEJ.
„S T E R" GŁOSI PRAWDĘ O ŻYDACH ŻYDOM I NIE-ŻYDOM.

14 lutego 1937 W A R S Z A W A 3 Adar 5697

Dr. M. KLEINBAUM

RADOM I... PRZYTYK

Doba współczesna przejdzie do historii pod znakiem walki dwóch systemów: faszyzmu i ludowładztwa, zmagających się ze sobą na wszystkich frontach dzisiejszego burzliwego życia. Faszyzm we wszystkich jego odmianach dochodzi do władzy i ją utwierdza wbrew woli i interesom ludu, — ażeby zaś władzy nie utracić, zmuszony jest uciekać się do najniższych instynktów ludzkich, do wojny i nienawiści rasowej. W Europie dwa są główne ośrodki faszystowskiego ruchu ogólno-światowego: Berlin i Rzym. Wszystkie katastrofy ludzkości czasów ostatnich z tych dwóch ośrodków się wywodzą: brutalny najazd na Abisynię, rozbiór Hiszpanii, niebezpieczeństwo wojny, wzmożone zbrojenia, kryzys gospodarczy, bezrobocie i nędza, brak zaufania w stosunkach międzynarodowych, heca antysemicka, upadek kultury.

Polsce zagraża bezpośrednio faszyzm berlińskiego autoramentu. Z sześcioma państwami ościennymi graniczy Rzeczpospolita, ale niebezpieczeństwo czyha tylko ze strony zachodniej, ze strony Trzeciej Rzeszy. „Nacjonal-socjalizm" jest nie tylko zewnętrznym wrogiem Polski, nie tylko co raz bardziej likwiduje statut Gdańska („wolnego miasta"), nie tylko organizuje iredentę na zachodnich rubieżach Polski, ale stanowi także najgroźniejszego wroga wewnętrznego. Jego naśladowcą i wiernym sojusznikiem na terenie Polski jest t. zw. obóz narodowy. Panoszeniu się zaś „obozu narodowego" sprzyja obóz sanacyjny i jego system.

To też nakazem chwili jest obok walki z faszyzmem na terenie międzynarodowym, co w Polsce znaleźć może wyraz przede wszystkim w antyhitlerowskim kursie polityki zagranicznej, również walka z faszyzmem „narodowym" i „sanacyjnym" na terenie wewnętrznym. Bezpośrednim zadaniem tej walki jest zaprowadzenie ustroju demokracji parlamentarnej, lecz nie na tym koniec. Pięcioprzymiotnikowe wybory, demokratyczny parlamentaryzm nie są celem samym w sobie. Celem jest pełna demokracja polityczna i społeczna, reformy socjalne i przebudowa gruntowna ustroju, — słowem: wolność i sprawiedliwość.

Cel ten nie może być w Polsce osiągnięty bez słusznego rozwiązania zagadnienia mniejszościowego. A rozwiązanie słuszne jest tylko jedno jedyne: autonomia terytorialna dla mniejszości skupionych, oraz narodowo-kulturalna dla mniejszości rozproszonych (Żydzi), oczywiście, przy zachowaniu równych praw i obowiązków obywatelskich. Co się tyczy antysemityzmu, to użyty on bywa, jako wypróbowany środek dywersji przeciw wolnościowym dążeniom mas ludowych. Taka była metoda Endecji za czasów carskiej Rosji, taka pozostała i dziś. Antysemityzmowi przeciwstawić należy postulat równouprawnienia całej ludności kraju bez względu na narodowość, rasę, pochodzenie i wyznanie.

*

Tak oto przedstawia się w głównych zarysach, możliwe wiernie streszczone, stanowisko Kongresu P. P. S. w Radomiu. Nie mamy potrzeby długo się rozwodzić nad oceną tego stanowiska. Powiemy krótko: to jest stanowisko nie tylko Polskiej Partii Socjalistycznej, lecz wszystkich naprawdę demokratycznych żywiołów w Państwie, a więc także stanowisko demokracji żydowskiej. Tym jednym zdaniem określiliśmy nasz stusunek — nie do ideologii i celu ostatecznego socjalizmu polskiego, — a do aktualnych wytycznych politycznych, wytkniętych przez kongres radomski.

Co ten kongres cechowało, to poczucie siły i odpowiedzialności. Tak, PPS jest dziś siłą, większą niż kiedykolwiek, — utrzymują tak nie tylko zainteresowani, ale i bezstronni obserwatorzy ewolucji wewnętrzno- politycznych w kraju. Nie odniosły skutku zakusy dywersyjne Sanacji. Panowie Jaworowski i Moraczewski ani nie rozbili socjalizmu polskiego, ani nie zdołali stworzyć dla regime'u „własnego" masowego ruchu robotniczego. Na koniec sami zostali wyrzuceni za nawias obozu rządzącego, skoro tylko zakończyli, nieudolnie zresztą, wyznaczoną rolę. PPS przetrwała rozłam, co więcej, skonsolidowała się wewnętrznie, skrzepła ideologicznie. Nie zdała się też na nic ordynacja wyborcza, po której jej inicjatorzy spodziewali się likwidacji wszystkich patryj. Zarówno PPS, jak i inne obozy opozycyjne wzrosły jeszcze na sile, znajdując — w odróżnieniu od ciał ustawodawczych p. p. Cara i Prystora — coraz szersze oparcie w społeczeństwie, w masach ludowych. Z poczucia więc siły wyrosło na kongresie radomskim poczucie odpowiedzialności. Widocznie dlatego uchwały nacechowane są umiarem w formie, a zarazem niezłomną decyzją w treści. Widocznie dlatego z platformy politycznej przebija świadomość zbliżania się do władzy, oraz tendencja uwolnienia rezolucji od doktrynerskich sformułowań i zastąpienia ich konkretnymi postulatami, mogącymi się stać udziałem całego frontu demokratycznego, którego naturalnym trzonem jest PPS. Widocznie dlatego tak wyraźnie podkreślona została sprawa niepodległości i obronności Państwa, którą ruch robotniczy „wziął na swoje sumienie". Widocznie dlatego odrzucił kongres współpracę z komunistami, mając na oku m. in. specyficzne warunki w Polsce, wynikające z bezpośredniego sąsiedztwa ze Związkiem Radzieckim.

Może czeka jeszcze PPS długa i ciernista droga do władzy, ale coraz jaśniej i dobitniej krystalizuje się w umysłach ludzi myślących w Polsce, że wbrew światowi pracy sprawowanie rządów na dłuższą metę jest niemożliwością. Prawa zaś reprezentowania polskiego świata pracy nikt dzisiaj PPS nie kwestionuje.

*

Znamienna jest uchwała PPS o współpracy ze Stronnictwem Ludowym. Zarzucono dawną formułę współpracy tylko z socjalistami mniejszości narodowych. Ta dawna formuła odpowiada może purytańskiej taktyce marksistycznej, ale w praktyce oznacza ona izolację PPS w społeczeństwie polskim. Poczucie siły zapewne i odpowiedzialności pozwoliło Kongresowi utrzymać i bardziej jeszcze zaakcentować tezę współdziałania z partią chłopstwa polskiego.

Na tym jednak poprzestać nie można. Jedna trzecia z górą ludności Rzeczypospolitej to 'mniejszości narodowe. Strusia jest każda polityka, która nie docenia zagadnienia mniejszości, a krótkowzrocznością wprost karygodną z państwowego punktu widzenia byłoby „likwidowanie" tego zagadnienia drogą zarządzeń czysto administracyjnych, nie uwzględniających dynamiki politycznej społeczeńsw mniejszościowych. Zwłaszcza PPS, której ambicją jest rozwiązanie problematu mniejszościowego w Polsce, nie może zamykać oczu na procesy wewnętrzne w łonie mniejszości narodowych. Tymczsem tylko program partii, uchwalony na Kongresie uwzględnia sprawy narodowościowe, zresztą zgodnie z interesem Państwa i z duchem słusznych postulatów mniejszości, — natomiast w aktualnej platformie politycznej pominięta została kwestia stosunku polskiego frontu robotniczo-chłopskiego do czynnych obozów politycznych narodowości niepolskich.

Nam się wydaje, że logiczną konsekwencją stanowiska Kongresu byłoby powstanie wśród wszystkich mniejszości narodowych zorganizowanych bloków demokratycznych. W każdej narodowości blok taki obejmowałby demokrację socjalialistyczną, jak i nie-socjalistyczną (mieszczańską czy chłopską), a więc odpowiadałby swą strukturą kolaboracji PPS i Stronnictwa Ludowego. Działalność tych wszystkich „frontów demokratycznych" musiałaby, rzecz jasna, być stale koordynowana jednakowoż każdy z nich działałby na terenie swojej zbiorowości narodowej samodzielnie.

A może i lepiej, że inicjatywa w tym kierunku nie wyszła ze strony Kongresu radomskiego. Sprawa ta należy zresztą do samodzielnej decyzji odnośnych ugrupowań demokratycznych poszczególnych mniejszości. My ze swej strony podjęliśmy i podtrzymujemy tę inicjatywę w stosunku do mniejszości żydowskiej w Polsce. Uważamy, że jedynie front demokracji żydowskiej zdoła wyprowadzić społeczeństwo żydowskie z ślepego zaułka B. B. Ż. i nominowanego „przedstawicielstwa" na szeroki szlak walki o faktyczne równouprawnienie w ramach ustroju nowej, demokratycznej Polski.

Żydowski Front Demokratyczny, samodzielny i niezależny, zorientowany być musi na awangardę demokracji polskiej, na PPS. Uchwały Kongresu w Radomiu, szczególnie w sprawie żydowskiej, potwierdzają słuszność tej orientacji. Radom stał się zapowiedzią powrotu wielkiej fali polskiej wolności, która zmiecie falę reakcji i wstecznictwa, falę polskiego faszyzmu. Radom stał się symbolem tej drugiej, nieoficjalnej jeszcze Polski, której dewizą były i pozostaną pamiętne słowa: „za naszą i waszą wolność". Radom jest dla mas żydowskich, głodnych, wynędzniałych i steroryzowanych, jedynym jasnym punktem na zachmurzonym widnokręgu polskiej rzeczywistości, jest po prostu — punktem orientacyjnym.

To nie jest dla nas żadne „malum necessarium", jeno akt świadomości i woli politycznej. Jest obok Radomia jeszcze drugi symbol w Polsce — nazywa się. Przytyk. Pamiętamy pra-przycynę, bojkot; pamiętamy następstwo, słynne „wypadki"; pamiętamy epilog, wyrok sądowy; czytaliśmy właśnie motywy wyroku, wydane w postaci broszury. Przytyk leży wprawdzie w ziemi radomskiej, ale jest to bliskość tylko geograficzna. Politycznie Przytyk i Radom to dwa bieguny przeciwległe, na których stoją przeciw sobie dwa wrogie światy, świat faszyzmu i świat wolności, świat ciemnoty i świat postępu, świat Arymana i świat Ormuzda. Nasz wybór jest w równej mierze nakazem logiki i instynktu, rozsądku i sumienia.

Wiemy, jakie złośliwości prawić będą na ten temat wstecznicy jednej i drugiej strony. „Nasi" domorośli faszyści zarzucać nam będą pójście w niewolę do socjalizmu polskiego, a „Dziennik Narodowy" i „A. B. C." będą miały „dowód", że PPS się zaprzedała Żydom, i „Mędrcom Syjonu". Na te podłe złośliwości małych, nędznych kreatur my odpowiedzieć możemy tylko pogardą. Tę samą zapewne odpowiedź da Przytykowi — Radom...

M. Kleinbaum.

Dr. Mayer Ebner

DYKTATURA A WOLNOŚĆ

I.

Dyktatura święci triumfy. Ataturk (Kemal Pasza) Musolini, Hitler i Stalin, jak wydaje się, siedzą mocno na siodle, decydując o życiu i śmierci. Droga wszystkich dyktatorów na przestrzeni historii jest znaczona krwią — dzieje się to zwłaszcza w zaraniu dyktatury. W Rosji Sowieckiej przelew krwi wydaje się być stałym stanem.

W ostatnich dniach stalinowski sąd wojenny skazał na śmierć i polecił rostrzelać trzynastu t. zw. trockistów, a ledwo kilka miesięcy temu zostali straceni za zdradę stanu Zinowiew, Kamieniew i czternastu innych ze starej gwardii bolszewickiej. Rewolucja pożera swe własne dzieci — jak uczy historia. A w Rosji Sowieckiej rozgyrwają się tragedie. Rodzą one uczucia strachu i bojaźni, budząc wszakże współczucie dla okrutnego losu bohaterów tragedii.

Podobnie 30. czerwca 1933 r. rozkazano w Trzeciej Rzeszy rozstrzelać bez sądu rzeczywistych, czy też domniemanych przeciwników dyktatora w szeregach jego partyzantów. Kemal Pasza rozkazuje wieszać swych przeciwników.

II.

Dyktatura jest wiekiem równa historii. W okresie naturalnym społeczeństwo żyło w systemie demokracji i patriarchatu, ale stopniowo ustąpiły one miejsca dyktaturze królów i tyranów. We wszystkich jednak czasach samowładza jednostek miała jednakowe oblicze. W czasach starorzymskich była ona instytucją demokracji, która w okresie niebezpieczeństwa państwowego powoływała dyktatora, ale tylko na okres sześciu miesięcy. Później jednak dyktatura przerosła i pochłonęła rzymską demokrację. Pełnia władzy państwowej, powierzona jednostce, uczyniła z niej Cezara, Imperatora, Augusta. Mało jednak było dobrych cesarzy, bez porównania większa była liczba tych, którzy tron swój splamili krwią. S z a l e ń s t w o c e z a r ó w stało się już przysłowiowym powiedzeniem, ale szaleństwo oddawania cesarzowi czci boskiej było niczym w obliczu s z a l e ń s t w a p r z e ś l a d o w a n i a, które opanowało aż tylu cesarzy.

Psychoanalitycy zbadali życie wszystkich, znanych na przestrzeni dziejów, despotów, a bardzo często natykali się oni na ślady choroby umysłu która objawiała się w postaci manii prześladowczej. Cesarz Tyberiusz był wprawdzie jednym z najdzielniejszych rzymskich cezarów. — Mommsen oddaje mu tę sprawiedliwość— ale w starości cierpiał na manię prześladowczą. Okrucieństwo większości rzymskich despotów nie było tyle objawem sadyzmu, ile raczej produktem ciągłej obawy przed własnym upadkiem na skutek gwałtu. Dla tego Piotr Wielki wymordował „strzelców" i usunął własnego syna Aleksieja. Dla tego też szaleli w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej Maratowie, Dantoni i Robespierre'owie. Mordowali albo kazali mordować, a obawiając się skutków rozpanoszonego terroru, pławili się dalej w krwi.

Gdy mania prześladowcza opanuje despotę, wtedy traci on rozum. Otoczenie drży przed nim. Oddana i wierna bez zastrzeżeń straż przyboczna chroni swojego pana i wydaje w tym celu najokrutniejsze rozkazy. Dostojny Senat rzymski prześciga się w pochlebstwach, a jak bardzo poniża się pod panowaniem dyktatora godność człowieka, świadczyć mogą fakty, podawane przez Tacyta: Kaligula mianował senatorem swego rumaka, a Nero polecił Senatowi zatwierdzić swe małżeństwo z młodym gladiatorem.

III.

To, o czym obecnie donoszą gazety z Rosji Sowieckiej, doprowadza nas do wniosku, że pan Kremlu obawia się upiorów tych, których pozbawił życia na przestrzeni długich lat swoich rządów. Obawia się swego własnego cienia. W każdym ciemnym kącie widzi mordercę, a bojaźń jego otoczenia przed zemstą pana jest tak wielka, że nawet sądy wojenne posłuszne są jego skinieniu. Najwyżsi dostojnicy Republiki Sowieckiej nie są bezpieczni przed wkroczeniem G P. U. Nawet naczelny wódz armii czerwonej, marszałek Woroszyłow, czuje się podobno zagrożony, a jeśli ostatnie wiadomości zgodne są z prawdą, wtedy perspektywa terroryzowania wysokich oficerów może stać się początkiem końca stalinowskiej tyranii.

Tak mają się współcześnie rzeczy w Rosji Sowieckiej. Ale żaden dyktator nie ma prawa uważać siebie i swój system za lepszy. Noce Bartłomieja na wzór 30 czerwca mogą się również w Niemczech powtórzyć. I nie ma to nic do rzeczy, że między dyktaturą faszystowską a komunistyczną istnieje różnica jakościowa. Obie bowiem rządzą się tylko przemocą i terrorem, a gdy energia dyktatora ulega osłabieniu albo, gdy wzmacnia się nacisk z dołu, wywoływany przez opór gwałconej duszy narodu — wtedy potęgują się też instynkty samozachowawcze dyktatorów, przeradzające się w manię prześladowczą; wtedy powtarza się prastare widowisko krwi, szubienic i bezgranicznego strachu.

Przed tymi perspektywami nie mogą uchronić pozorne sukcesy dyktatorów. Mówimy: sukcesy p o z o r n e, albowiem nie wiemy na prawdę, co rzeczywiście dzieje się w krajach, rządzonych przez dyktaturę. Nie wiemy tego, mimo, że codziennie z krajów tych nadchodzą wieści telegraficzne, radiowe oraz relacje bezpośrednie. Sprawozdania te są diametralnie różne. Jedni opowiadają o raju komunistycznym, inni o komunistycznym piekle. Niemcy współczesne rozbrzmiewają pieśniami i igrzyskami, lecz jeśli wierzyć mamy przeciwnikom regime'u: rośnie w Niemczech nędza, przybierająca zastraszające formy. Któż wie, jak potoczą się wypadki w tych krajach dwóch, wrogich sobie, dyktatur. Niech tylko wybuchnie w nich pożar a wtedy nie tylko te kraje, ale cała cywilizacja zachodnia legnie w gruzach.

IV.

Bez porównania szczęśliwsze są kraje, rządzone demokratycznie. Demokracja nie jest jeszcze zapewne ostatnim słowem w rozwoju ludzkości, ale dotąd przy wszystkich swych brakach, jest ona najlepszą formą ustrojową. Dowodem: Anglia, Francja i Ameryka. Prezydenci republik, monarchowie konstytucyjni, a więc nie mogący dyktować swej woli organom wymiaru sprawiedliwości, gdyby nawet tego chcieli, śpią spokojnie i nie drżą o własne życie. Mania prześladowcza nie zaciemnia ich umysłu i nie ma wpływu na postępowanie ich rządów.

Koniec końców — wolność jest najwyższym dobrem ludzkości. Nie tylko samym chlebem żyje człowiek — a święte te słowa zawierają głęboką prawdę. Jadło i napój nie czynią jeszcze człowieka szczęśliwym. A jeśli nawet w krajach dyktatury narody pławią się w dobrobycie, brak im dla obywatelskiego szczęścia w o l n o ś c i.

Czym jest wolność? Wolnością jest — czynić to, na co pozwalają prawa. Również to staro-rzymskie powiedzenie pełne jest głębokiej mądrości. Wolność myśli była zdobyczą cywilizacji w błogosławionym XIX stuleciu. Żadne państwo nowoczesne nie może przekreślać prawa do wolności myśli i życia w wolności. I o dziwo! Tam właśnie, gdzie wolność myśli najmniej jest ograniczona, w Anglii, gdzie każdy pod ochroną policji może w Hyde-park londyńskim mówić, co zechce, przeciw Bogu i przeciw królowi, przeciw kościołowi i ustrojowi państwa — czyni się dobrowolnie najmniejszy użytek z tych nie ograniczonych swobód.

* * *

Chwilowo jeszcze tu i ówdzie dyktatura ma wysoki kurs. W rzeczywistości jednak opiera się ona na kurzych nóżkach i przez noc może być obalona.

Silne i pewne są wszakże te kraje, których obywatele żyją w cieniu praw i w świetle wolności.

Czerniowce, w lutym 1937 r.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Podróż Weizmanna

W publicystyce syjonistycznej ozwały się głosy niezadowolenia z powodu odroczenia podróży prezydenta Agencji Żydowskiej do Ameryki. Wskazują, że pobyt dr. Weizmanna w Londynie jest co prawda obecnie, gdy Komisja Królewska opracowuje swój raport, niemal niezbędna, tym nie mniej jednakże należało jechać do Ameryki.

Nie chodzi tylko o nawiązanie kontaktu bezpośredniego z 4-milionową masą najsilniejszego i najwpływowszego skupienia żydowskiego w świecie, lecz w znacznej większej mierze o wzbudzenie zainteresowania dla syjonizmu, tej potęgi politycznej, jaką stanowią Stany Zjednoczone A. P. Nie można, oczywista, w niczym pomniejszyć naprawdę wielkich zasług, położonych na tym polu przez krajowych przywódców syjonizmu w Ameryce, ale osobiste zetknięcie największego żydowskiego męża stanu z władcami Nowego Świata nie da się niczym zastąpić. Szereg kierowniczych polityków z prezydentem Rooseveltem na czele, sprzyja szczerze syjonizmowi. Atoli w Stanach Zjednoczonych odgrywa dominujcą rolę nie tylko zdanie dotsojników państwowych, lecz bardziej jeszcze — opinia publiczna. *Ją* należy zdobyć dla sprawy żydowskiej, uświadomić, objaśnić. A wpływowi Weizmanna i jego możliwościom w tym względzie nic i nikt nie dorówna.

Nie wolno zapominać o roli, St. Zjedn. A. P. w sprawie mandatu palestyńskiego. Nie są one członkiem Ligi Narodów, a tym samym nie byłyby też gwarantem mandatu palestyńskiego, gdyby nie były się przyłączyły do gwarancji mandatu palestyńskiego specjalnym układem w maju 1922 r. Gdy Leonard Stein, radca prawny h. c. Agencji Żydowskiej, wytoczył przed Komisją Królewską w Jerozolimie sprawę uprawnień U. S. A. wobec mandatu palestyńskiego, wywołało to na lordzie Peel'u i jego towarzyszach ogromne wrażenie. Także Jiszuw był poruszony tym sensacyjnym oświadczeniem L. Steina. Ameryka ma prawo nawet żądać od Mandatariusza sprawozdania z sytuacji w Palestynie. A już mowy być nie może o zmianach w mandacie bez zgody Waszyngtonu.

Przy obecnym wzroście prestige'u i wpływów USA na politykę międzynarodową, a jednoczesnym upadku niektórych skupień żydowskich w Europie, silne żydostwo amerykańskie i rząd prez. Roosevelta mogą w rozwiązaniu konfliktu palestyńskiego odegrać rolę bodaj rozstrzygającą.

Kiedy będzie chwila właściwa do rzucenia na szalę głosu Ameryki, o tym rozstrzygnąć może tylko nasza Egzekutywa. Krytykom wydaje się, że należałoby już teraz to uczynić, zanim jeszcze ukaże się sprawozdanie p. Pell'a. Egzekutywa widocznie uważała, że lepiej teraz posługiwać się wpływami i stosunkami w Londynie, a z pomocy z zewnątrz (z poza Anglii) skorzystać ewentualnie po ujawnieniu niepomyślnego raportu Komisji Królewskiej. Innymi słowy, nie należy od samego początku drażnić Anglii ingerencją innego mocarstwa do spraw palestyńskich.

To drugie stanowisko wydaje się bardziej celowe i przemyślane, niż pierwsze. Ono też tłumaczy chwilowe odroczenie wyjazdu Weizmanna do USA.

Piewcom Madagaskaru — to i owo

Wywiad p. min. Becka, dezawuujący wszystkie poprzednie najrozmaitsze oświadczenia, które podkreślały związek między akcją dyplomatyczną Rządu Polskiego w sprawie kolonii a planem ewakuowania Żydów, znalazł żywy oddźwięk w prasie „narodowej". „Warszawski Dziennik narodowy" na czołowym miejscu uznał ten wywiad za dowód, że antysemityzm Sanacji nie jest szczery, że rządy pomajowe sprawy żydowskiej w „duchu narodowym" nigdy nie rozwiążą, że nawet bojowe wystąpienia posłów sanacyjnych przeciw Żydom obliczone są raczej na efekt, na zdobycie ulicy, a nie wypływają z głębi duszy.

Natomiast nie wspomniał centralny organ „naroodwy" ani słówkiem o tym, jak to endecki minister oświaty w chjeńskim rządzie ery przedmajowej chciał zaprowadzić w Polsce formalny numerus clausus na uniwersytetach, a wystarczył jeden liścik od Poincare'go, aby zamiaru zaniechać.

Również drugie wydarzenie, ściśle z pierwszym związane, zostało przez prasę polską potraktowane nie poważnie. Chodzi o telegram literatów polskich z Ameryki, apelujący o zaprzestanie ekscesów antyżydowskich (apel ten omówiliśmy już w poprzednim numerze ex re awantur studenckich). Autorzy twierdzą wprawdzie, że telegram wysyłają z okazji imienin Pierwszego Obywatela Rzplitej, ale okoliczność, że 1-go lutego w Nowym Jorku „przypadkowo" rozpoczęła obrady żydowska konferencja w sprawie pomocy dla żydostwa polskiego, nasuwa każdemu pewne mimowolne refleksje, które warszawscy piewcy Madagaskaru pominęli milczeniem.

Musimy ich zatem wyręczyć, a przy sposobności to i owo stwierdzić i sprostować.

Po pierwsze — Żydzi są jednak siłą w świecie. Bajka, opowiadana od kilku lat przez endeckich publicystów, jakoby wpływy żydowskie na szerokim świecie skończyły się bezpowrotnie na skutek wzrostu nacjonalizmów, rozwiała się zupełnie. Przesadą było endeckie gadanie o wszechwładztwie Żydów, o „państwie anonimowym", przesadą była ostatnia teoria o całkowitej bezsilności żydostwa. Widocznie idea ewakuacji Żydów z Polski nie przyczyniła się do spopularyzowania w opinii światowej polskich roszczeń kolonialno-emigracyjnych, skoro sternik polskiej polityki zagranicznej uznał za właściwe wyeliminowanie tej idei z całokształtu sprawy.

Po drugie — czynny antysemityzm w Polsce może ujemnie się odbić na położeniu mniejszości polskich w różnych krajach. Na ich samopoczuciu już się odbił ujemnie. Telegram nowojorski mówi o tym wyraźnie. A przecież jedna czwarta narodu polskiego żyje na obczyźnie. Dla nich teoria narodu-gospodarza jest nie mniej niebezpieczna, niż dla Żydów.

Po trzecie — solidarność narodu żydowskiego mimo terytorialnego rozproszenia nie jest konspiracyjna, a jawna i otwarta, — „ABC" nie ma więc najmniejszej potrzeby jej demaskować. Już na I. Kongresie Syjonistycznym Teodor Herzl powiedział: „Wir sind ein Volk, *ein* Volk". A w roku ubiegłym w sierpniu odbył się w Genewie Światowy Kongres Żydowski, którego celem — znów jawnym i otwartym — jest wzajemna pomoc poszczególnych skupień żydowskich. Nie narusza to w niczym łączności obywatelskiej Żydów z krajami ich zamieszkiwania, owszem — solidarność żydostwa światowego broni nas np. przed zamachem szowinizmu polskiego na stosunek obywatelski, zachodzący między nami a Państwem Polskim. Twierdzenie, jakoby konferencja żydowska w Nowym Jorku i akcja dr. Stefana Wise'a były wymierzone przeciw Polsce, jest insynuacją. Były one i będą nadal wymierzone przeciw *wszystkim* czynnikom, ponoszącym winę za obecną sytuację żydostwa polskiego, ale nigdy przeciw Państwu Polskiemu, którego na szczęście z tymi czynnikami utożsamiać się nie musi.

Kauzyperda demonem

Pan premier Składkowski chciał w jednym ze swych przemówień ubiegłego tygodnia wykazać, że rękę karze, a nie ślepy miecz. Więc opowiadał o tym, jak to z pewnym starostą rozmawiał; jak mu tłumaczył, że nie ciemnych ekscedentów karać należy, lecz ich kierownika i przywódcę; jak adwokata Jursza bezskutecznie ostrzegał, i następnie do Berezy wysłał, a po 6-ciu tygodniach spokoju znów uwolnił. „W. D. N.' zdążył już opisać, jak p. Jursz zmizerniał w Berezie, i jak dzielnie się spisała p. Jurszowa, cierpiąc za „ideę".

A jednak wydaje nam się, że ilustracja, przytoczona przez pana premiera jest chybiona. Po prostu dowodzi, że kara *nie* sięga właściwych winowajców. Czyżby naprawdę małomiasteczkowy kauzyperda miał być demonem, inspiratorem najwyższym, organizatorem naczelnym, duchowym wodzem pogromowego antysemityzmu? Skąd-że znowu? — Po prostu prowincjonalny mały człowieczek, który hecę „narodowej" prasy stołecznej bierze na serio, słucha pokornie wszystkich przykazań judofobii, i posłusznie wykonywa wszystkie polecenia przełożonych władz endeckiej partii. Jursz, anonimowy Jursz, ni stąd ni zowąd — na najwyższym szczeblu hierarchii antysemickiego spisku? — Nic mylniejszego!

Trudno uwierzyć, by Premier uważał agitację Jursza za czynnik pierwotny. Premier nie może nie wiedzieć, że nie w Czyżewie, Przytyku lub Wysokim Mazowieckim działa główna sprężyna bestialskiej maszyny. Premier i minister spraw wewnętrznych w jednej osobie nie może w poszukiwaniu coraz to wyższych i grubszych ogniw łańcucha zbrodni zatrzymać się na pierwszym lepszym Jurszu i zawołać: Eureka! Mam go! Premier czytuje niewątpliwie lub każe sobie referować całą prasę, i stąd musi wiedzieć, gdzie tkwi źródło natchnienia do tych wszystkich poczynań, które „zaczynają się na Żydach, a kończą anarchią".

My, bezpośrednio i najbardziej zainteresowani w walce ze zbrodniczym antysemityzmem, wcale nie jesteśmy zadowoleni z Berezy w ogóle, nie wyłączając miejsc przeznaczonych dla t. zw. narodowców. Nie zależy nam na karaniu Jursza, ani kogokolwiek. W ogóle nie trzeba, naszym zdaniem, karać ludzi, lecz ukrócić ich robotę, odebrać im prawo szerzenia codziennie jadu nienawiści, karmienia dziesiątków a może i setek tysięcy ludzi kłamstwami, inwektywami, hecą. Nie trzeba nawet karać ręki, kierującej ślepym mieczem, wystarczy skrępować jej ruchy zbójeckie. Ale tu Pan Premier nie dociera wcale do ręki, zatrzymał się gdzieś, najwyżej na rękojeści, i uważa swe zadanie za wyczerpane.

Jakby tu komuś na prawdę o Jursza chodziło...

Masowy chrzest

W Bombaju i innych miejscowościach Indii tysiące pariasów zagroziło przyjęciem chrztu, jeśli społeczeństwo hinduskie nie zgodzi się na zniesienie kilku, najbardziej uwłaczających godności ludzkiej, przepisów. Wiadomość ta nasuwa zestawienie z inną, wcześniejszą nieco wiadomością o usiłowaniu 200 najzamożniejszych rodzin żydowskich Bukaresztu — przejścia na prawosławie.

W obydwu wypadkach chrzest jest ucieczką przed własnym nieznośnym losem. U Żydów nie jest to nic nowego, nowy jest tylko masowy, zbiorowy charakter przyjęcia crrześcijaństwa. U pariasów hiduskich przyjęcie chrztu jest czynem wybitnie rewolucyjnym (dotychczas misja chrześcijańska działała wśród tych najbiednieszych między biednymi bez wydatnych rezultatów). Ponad to zachodzą między tymi dwoma analogicznymi wydarzeniami jednak bardzo istotne różnice. Snać wszystkie analogie szwankują.

W Bukareszcie dąży nieliczna, uprzywilejowana górna warstwa społeczeństwa żydowskiego do ucieczki przed losem swoich mniej usytuowanych współbraci, dla wygody, z oportunizmu chcą przedostać się do obcego, lecz panującego narodu. W Bombaju zaś grupa milionowej warstwy pariasów czyni rozpaczliwą próbę dostania się do narodu hinduskiego, do swojej własnej społeczności, do której należą z pochodzenia i religii, a w której chcą być traktowani, jak bracia. Żydom bukaresztеńskim masowy chrzest otworzyć ma wrota do *odejścia* od żydostwa, które jest dla nich ciężarem, — pariasom zaś bombajskim do *wejścia* w skład hinduskiego narodu, który jest ich ukochanym ideałem.

Jeszcze jedna ważka różnica zachodzi między Bombajem a Bukaresztem. Drogą chrztu od żydostwa uciec nie można; tego już dowiódł przykład Trzeciej Rzeszy, który może być wszędzie naśladowany. Parias natomiast traci status pariasa z chwilą przyjęcia obcej wiary, islamu lub chrztu. Póki jest „normalnym" hinduskim pariasem, modlącym się do tych samych bożków, co czcigodni brahmini, póty jest nieczysty, wyparty, odosobniony, trędowaty. Hindus staje się, nawet nieczysty, jeśli na niego padł choćby cień pariasa. Ale wystarcza, by parias włożył turban na głowę lub zawiesił krzyż na piersi, a już przez to samo staje się „czystym" Hindusem.

Tak, asymilatorzy bukaresztеńscy chcą odejść od swych prześladowanych braci, a hinduscy pariasi chcą koniecznie wejść do obozu swych rodaków, Hindusów. Dla tego byłoby krzywdą dla pariasów, gdyby ich rozpaczliwy krok porównano z krokiem zdradzieckim żydowskich plutokratów Bukaresztu.

Plan niesiemy, plan...

(M A Ł Y F E L I E T O N)

Gdyby rzeczy tego świata układały się według marzeń Kalamburzystów, wicepremier niewątpliwie mówiłby w i c e. A tymczasem dowcipy (zresztą pierwszorzędne) opowiada sam premier, wice-premier zaś śpiewa piękne pieśni o inwestycjach, o motoryzacji, coś w rodzaju arii „La donna automobile".

Śliczne to było wystą-p i e n i e w komisji budżetowej, wspaniale brzmiał ten chór sześciu ministrów przy cichem „mruczando" posłów.

„Plan niesiemy, plan..." Dożynki. Dorzyna się kryzys.

Trudniej będzie tylko z dobrymi radami mędrców z Wiejskiej.

Nad dozbrojeniem czuwa, jak wiadomo, „FON", ale dla uruchomienia emigacji żydowskiej poseł Miedziński proponuje specjalny fundusz „WON", Plan jego objąłby z jednej strony rzekę S a n, a z drugiej strony S a n-Domingo, gdzie Poska ma zamiar inwestować milion... Żydów.

Zamiast „trójkąta bezpieczeństwa" Budzyński i Bakon woleliby trójkąt niebezpieczeństwa w powiecie wysoko mazowieckim.

Protektorzy O. N. R. domagać się będą nowych gmachów szkolnych z wyjątkowo trwałych materiałów (na wypadek blokad) oraz z dostateczną ilością pomieszczeń dla spełnienia nie możliwie wszystkich potrzeb fizjologicznych. Większych sum żądać będą na zakup kajetów i kastetów oraz na lekcje dziu-dżitsu.

Przeciw usprawnieniu komunikacji występuje poseł Szczepański. Domaga się zniesienia trasy Czyżew—Bereza.

Wszyscy wprawdzie się cieszą elektrofikcją i gazyfikcją, jeno niektórzy posłowie wnoszą, żeby kolosalne rurociągi połączyć nie ze źródłami gazu, a z wytwórniami monopolu spirytusowego. Jednak przydałby się gaz — rozweselający...

Dla osiągnięcia głównego celu planu czteroletniego ma powstać Fabryka Spontanicznego Entuzjazmu z inicjatywy nawróconego „Kuriera Poranu". Na szczytny ten cel funduszów nie ma co żałować.

Bowiem: Pereat fundusz, fiat inwestycja! ESQUIRE.

KRONIKA GOSPODARCZA PALESTYNY

Po raz trzeci już w okresie powojennym palestyńskiego dzieła odbudowy, składamy egzamin przed komisją ekspertów z naszych dotychczasowych postępów; po raz trzeci składa się los naszej sprawy w ręce garstki ludzi, od wyroków których zależeć mają dalsze możliwości i osiągnięcia pracy żydowskiej w Palestynie.

Smutne, niestety, doświadczenia, poczynione z poprzednikami p. Peela: pp. Shawe'em i Simpsonem, są dostatecznym motywem dla obecnego naszego, równie sceptycznego, stosunku do teoretycznych zaleceń i wniosków, jakie niewątpliwie i teraz wyprowadzone być muszą przez p. Peel'a i tow. w wyniku badań i studiów odnośnie przyszłego rozwoju Palestyny.

Jedno jest tu bowiem całkiem pewne. W całej pracy komisyjnej rozpatrywana będzie sprawa przyszłości pracy naszej w kraju w oderwaniu od szeregu specyficznie żydowskich czynników psychologicznych, historycznych i socjalno-ekonomicznych; w oderwaniu od momentu ideowego, jaki dominuje w naszych poczynaniach, a całość zagadnienia potraktowana będzie pod kątem widzenia polityki, niezbyt życzliwej dla nas administracji angielskiej. — Wnioski Komisji Królewskiej staną zapewne znów w rażącej sprzeczności z rzeczywistą rzeczywistością palestyńską, jak to już było z „proroctwami" i zaleceniami Simpsona.

Dla tego właśnie nie od rzeczy będzie dokonanie przeglądu tego wszystkiego, co pozostało z tych „przewidywań" p. eksperta z roku 1929, i to na tle faktycznego rozwoju Palestyny w latach ostatnich.

Wystarczy przy tym, jeśli się ograniczymy choćby tylko do wniosków Simpsona w odniesieniu do możliwości rozwojowych *żydowskiego przemysłu* palestyńskiego, gdyż te sprawy prościej ująć się dadzą w krótkim zarysie, niż sprawy np. rolnictwa i osadnictwa.

A oto wnioski p. Simpsona w tej dziedzinie, ogłoszone w jego „Report":

> „byłoby złą, a nawet fatalną polityką, sprowadzanie do kraju wielkich kapitałów dla tworzenia nowych gałęzi przemysłu w Palestynie i dla powiększania tą drogą liczby imigrantów"...
>
> „sprowadzenie wielkiej liczby imigrantów dla nowych warsztatów przemysłowych, których sukcesy są wątpliwe, może wywołać kryzys, wobec którego kryzys z r. 1926 byłby zabawką dziecinną"...
>
> ...„dominującą zasadą winno być ograniczenie się wyłącznie do tych już istniejących gałęzi przemysłu, które wykazały się żywotnością i sukcesami, zaś tworzenie nowych przedsiębiorstw winno o tyle tylko mieć miejsce, o ile będą one mogły wyłącznie pracować na eksport"... (!?)
>
> ...„nie ma żadnej podstawy do twierdzenia, że Palestyna stanowić może szczególnie atrakcyjny teren dla większego przemysłu"... „Powstanie np. przemysłu tekstylnego byłoby nie wybaczalnym błędem i oznaczałoby niebezpieczną spekulację dla przyszłości ekonomicznej kraju"...

W końcu zaleca również Simpson popieranie tylko takich przedsiębiorstw przemysłowych, które mają widoki dobrego zbytu w Egipcie i Syrii (nie zaś w samej Palestynie, której „siła nabywcza" jest żadna!).

Oto w zarysie ogólne uwagi „eksperta" w sprawach uprzemysłowienia kraju. Jak zaś wygląda rzeczywistość, począwszy od roku 1930?

Przede wszystkim nieco cyfr, przytoczonych w sprawozdaniu Simpsona. Według niego było w r. 1930: — 2274 zakładów przemysłowych, zatrudniających 9362 ludzi; inwestowany w nich kapitał wynosił 998.904 Ł, produkcja roczna — 1.635.462 Ł, płace i wynagrodzenia — 476.452 Ł. W tych liczbach nie uwzględniono wówczas wielkich zakładów, jak elektrownie Rutenberga, fabryki „Neszer" i niektórych innych. Rozwój zaś w ostatnim pięcioleciu przedstawiał się, według danych d-ra W. Preussa, jak następuje:

	1929-30	1935-36
zakładów przemysłowych	2.475	4.615
robotników i pracown. zatrudnionych	10.068	32.830
kapitału inwestowanego	2.534.000	8.654000
produkcji rocznej	2.510.000	8.513000
zużycie prądu kw.	2.214.000	22.195000

Z powyższego zestawienia wynika, że w okresie po-simpsonowskim wzrosła ilość zakładów 1,88 razy, liczba zatrudnionych — trzykrotnie, roczna produkcja 3.42 razy, kapitał inwestowany 3.87 razy, zużycie prądu dla celów przemysłowych — dziesięciokrotnie!...

Ten przyrost zawdzięczać należy w pierwszym rzędzie wyłącznie imigracji żydowskiej, tej samej imigracji, którą p. Simpson uważa za największe niebezpieczeństwo! Mamy więc tu do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym, którego Simpson nie przewidział, że właśnie tych 250.000 Żydów, którzy przybyli do kraju *stworzyło własny rynek dla własnej produkcji*. W tym przejawia się najlepiej zasadniczy błąd tego rodzaju „ekspertyzy", pozbawionej fantazji dynamicznej i zrozumienia istoty kolonizacji syjonistycznej.

A oto jeszcze jedna odpowiedź na argumenty Simpsona odnośnie eksportu: (pg. Dr. W. Preussa):

	1933	1934	1935
Prod. przem. żyd.	5.350.000	6.500.000	8.600.000
Wywóz roczny	327.000	333.000	399000
W % wynosi to	6,-	5,1	4,7

A więc tylko nieznaczny odsetek całej produkcji palestyńskiej szedł na eksport. 95 proc. tej produkcji konsumuje rynek palestyński oczywiście przeważnie Żydzi... Gdybyśmy się więc stosowali do przepisanych przez Simpsona recept, nie mogłyby w kraju w ogóle powstać żadne nowe przedsiębiorstwa przemysłowe.

Odnośnie przestrogi w sprawie przemysłu tekstylnego wystarczy przytoczyć, że w roku 1930 było zakładów tych — 40, a w roku 1935 było ich już 110, z ilością zatrudnionych robotników — 1.500 (wobec 450 w roku 1930). Nie jest to rozwój na „wielką skalę", jednakże wykazuje on powolny, ale za to stale rosnący wzrost.

Inne zalecenia Simpsona, jak przestrzeganie przed wprowadzeniem wysokich ceł ochronnych, rzekomo w interesie konsumenta, doprowadziły do absurdu politykę gospodarczą administracji palestyńskiej. Wielka konkurencja niektórych państw spowodowała dumping japoński, który zupełnie rujnuje młody przemysł palestyński. A wprowadzenia tych ceł domagał się przez cały czas właśnie konsument żydowski. Tymczasem taryfa celna Palestyny wykazuje nadal cały szereg pozycji znacznie niższych od tychże pozycji w taryfach sąsiednich krajów arabskich.

Powyższe uwagi przytoczono — dla przestrogi!... Przestrogi przed zbytnim przecenianiem wartości i charakteru opinii „ekspertyz", które wiele momentów pod uwagę nie biorą i nie ogarniają w pełni siły naszego ruchu od-

Ruch budowlany a stan zatrudnienia.

Działalność budowlana wykazuje w pierwszych ośmiu miesiącach 1936 r. (od stycznia do sierpnia) naogół tendencję zniżkową i waha się w granicach ok. 40 proc. poniżej stanu z tego samego okresu 1935 r. Ilustrują to najlepiej cyfry, dotyczące 4 większych miast kraju (w mtr. kw.)

	I.VIII.936	I.VIII.935
Jerozolima	99.537	123.859
Tel Awiw	190.598	326.993
Haifa	196.455	285.257
Jaffa	54.505	165.720
Ogółem	541.095	901.892

Należy jednakże zaznaczyć, że porównanie tych cyfr nie daje bynajmniej powodu do pesymizmu w dziedzinie budowlanej, gdyż przytoczone dane z roku 1935 świadczą o rekordowym stanie ruchu budowlanego, jaki kiedykolwiek mógł być pomyślany w Palestynie, podczas gdy rok 1936 stanowi już pewną normę ustabilizowaną.

Ważną natomiast konsekwencją spadku działalności budowlanej jest sprawa zatrudnienia wolnych sił roboczych, dotychczas zajętych przy robotach budowlanych. Sprawa ta, jak miecz Damoklesa, zawisła nad całym życiem gospodarczym Palestyny i groziła poważnym kryzysem w dziedzinie naszej polityki socjalnej. I z tej jednak próby wyszedł jiszuw zwycięsko. Jest bowiem faktem, obecnie już stwierdzonym, że stan bezrobocia w kraju nie został w większym stopniu pogłębiony przez spadek ruchu budowlanego.

Przede wszystkim robotnicy nasi objęli częściowo placówki, obsadzone dotąd przez Arabów, częściowo znaleźli zatrudnienie przy robotach rządowych, w dużym zaś stopniu wywędrowali do kolonii. Proces ten nie odbył się przy tym bez strat materialnych dla robotników, gdyż płace obecne musiały być przystosowane do poprzednich zarobków robotników arabskich.

I G L A N.

A. BEN - ZEW

Państwo społeczne bez społeczeństwa

Po osiemnastu z górą latach niepodległości jesteśmy w stosunku do Polski, jak matka, która wprowadza córkę w świat, a chcąc ją widzieć piękną, zastanawia się, w co ją najlepiej ozdobić — „czy czerwona gwiazda bolszewicka, czy czarna bluza faszystowska czy znak swastyki, czy frygijska czapka, czy niebieski orzełek Roosevelta będą w tym celu właściwsze". Tak oto właśnie, obrazowo i symbolicznie daje wyraz dążeniu sfer sanacyjnych do reformy ustroju państwa jeden z najpoważniejszych ideologów tych sfer i czołowy bodaj współautor nowej konstytucji, wice-marszałek obecnego senatu, prof. W a c ł a w M a k o w s k i *).

Parę tygodni temu minęła niepostrzeżenie druga rocznica uchwalenia nowej konstytucji w pamiętnym styczniu 1934 r., ale w ciągu ubiegłego trzylecia zmieniona ustawa zasadnicza nie znalazła należytego oddźwięku w społeczeństwie, w publicystyce i w nauce. Musiała się do tego przyznać kilka dni temu nawet „Gazeta Polska", tak bardzo przecież zaangażowana w propagowaniu zmiany demoliberalnej konstytucji marcowej. Uchwalona w styczniu 1934 r. t. zw. konstytucja kwietniowa nie zdążyła się dotąd spopularyzować — zdając więc sobie sprawę z tej charakterystycznej okoliczności, czołowy współautor tejże, prof. Makowski, podjął się trudnej i — zdaniem naszym — nie zawsze wdzięcznej roli popularyzowania własnego dzieła. Temu właśnie zadaniu ma być poświęcona najnowsza jego książka p. t. „P a ń s t w o s p o ł e c z n e". Że jednak, jak już zdążyliśmy zaakcentować, wiec-marszałek Makowski miał decydujący wpływ na kształtowanie wytycznych nowej ustawy zasadniczej, a zwłaszcza na sformułowanie w pierwszych jej tezach - artykułach założenia ideologiczne, książka jego jest dla nas przede wszystkim k o m e n t a r z e m a u t e n t y c z n y m konstytucji, z tego właśnie punktu widzenia poświęcamy jej nasze zainteresowanie.

Autor wypowiada się zdecydowanie za zrzuceniem z czoła odrodzonej Rzeczypospolitej frygijskiej czapki — symbolu wolności, równości oraz przyrodzonych praw człowieka i obywatela, nie deklaruje się też za nowymi symbolami obcych: liktorskimi rózgami albo młotem i sierpem. Autor pragnie powstania rodzimych, specyficznie polskich form ustrojowych, a za takie uważa konstytucję ustrojową p a ń s t w a s p o ł e c z n e g o. (Należy zaznaczyć, że prof. Makowski zapowiada dopiero późniejsze naukowo - prawne opracowanie tej konstytucji, to zaś, co nam daje w swej ostatniej pracy, ma tylko charakter szkiców publicystycznych).

Schemat rozważań autora, mających uzasadnić konieczność państwa społecznego, przedstawia się następująco: Państwo prawne w. XIX., ograniczone do czynności, związanych z tworzeniem i kultywowaniem norm prawnych, nie wystarcza już w obecnych czasach niebywałego komplikowania się zagadnień ekonomiczno-socjalnych. Przestarzały się też — zdaniem autora — negatywne gwarancje praw człowieka i obywatela, których miejsce powinna zająć czynna ingerencja państwa w kierunku spełnienia zadań ekonomiczno-socjalnych wobec społeczeństwa. Państwo społeczne ma się opierać na idei solidaryzmu społecznego i stanowić harmonijną syntezę elementów społecznych i państwowych.

Ostatnią tę myśl autor rozwija w sposób bardzo obrazowy: „Odpowiednikiem naturalnej współzależności społeczeństwa jest formalna współzależność państwa. Można by powiedzieć, że pomiędzy istotą społeczeństwa a istotą państwa zachodzi taka różnica, jak pomiędzy miłością a małżeństwem. Miłość jest spontaniczną pobudką działania, małżeństwo — instytucją formalną". A nieco dalej: „Mówi się czasem cynicznie, że małżeństwo jest grobem miłości; tak może być tam, gdzie formalizm zabija szczerość wewnętrznej potrzeby — tak być może, ale nie musi, małżeństwo może być spotęgowaniem miłości, instytucją powołaną do jej kultywowania. Podobnie rzecz się ma ze społeczeństwem i państwem".

Myśli te — przyznajemy i szczerze i chętnie — są bardzo piękne, jak jednak znaleźć właściwe drogi, prowadzące już nie tylko do usuwania odwiecznych antagonizmów pomiędzy ż y w y m s p o ł e c z e ń s t w e m a f o r m a l n ą o r g a n i z a c j ą p a ń s t w a, ale zmierzające do celu jeszcze trudniejszego, jakim jest sharmonizowanie tych obu elementów i to takie sharmonizowanie, któreby nie oznaczało... półknięcia społeczeństwa przez państwo (totalizm) albo na odwrót (anarchizm).

Naszym skromnym zdaniem, nie znaleziono dotąd lepszego, bardziej w swej prostocie naturalnego i logicznego sposobu rozwiązania tego kardynalnego zagadnienia wszystkich czasów, jak s y s t e m r z ą d z e n i a p a ń s t w e m d l a d o b r a s p o ł e c z e ń s t w a z a p o ś r e d n i c t w e m r z e c z y w i s t e j r e p r e z e n t a c j i t e g o ż s p o ł e c z e ń s t w a. System ten, to innymi słowy: konsekwentny, uczciwy i prawdziwie demokratyczny p a r l a m e n t a r y z m. Cóż, kiedy nasz szanowny autor, szukając dróg urzeczywistnienia ideału państwa społecznego, daleki jest od tego poglądu, zdążywszy — jak wiemy i jak odczuwamy — głęboko rozczarować się do prawdziwego parlamentaryzmu. Wprawdzie i jemu trudno zaprzeczyć, że „... jest rzeczą praktycznie ważną ustalenie transmisji, za pomocą której ruch społeczny mógłby się przekształcić na ruch polityczny, na działalność państwową..." i, że właśnie „Organem państwowym społeczno - państwowej transmisji jest parlament", a partie polityczne powstawały w związku z tą koniecznością. Tuż po tych słusznych stwierdzeniach następują jednak antyparlamentarne kontrargumenty, nie wyróżniające się ani oryginalnością, ani tym mniej: mocą przekonywującą. Stare są to i słabe argumenty: Że partie uległy degeneracji, a wślad za nimi parlament; że partie zyskują zwolenników obietnicami i demagogią; że obok programów maksymalnych są programy minimum i korzyści partyjne; że za dużo jest partii, a niektóre partie są znowu zbyt małe; że to w ogóle jest „bussines" polityczny i t. d. i t. d. i t. d. Niech już nam Pan Marszałek wybaczy, ale nie czujemy się tymi argumentami przekonani ani zbudowani...

Jeśli więc, jak sądzi autor, „parlament partyjny staje się organem sam dla siebie (?) i nie spełnia już tej roli, jaka mu była przeznaczona" — jakież są inne drogi osiągnięcia harmonii pomiędzy społeczeństwem a państwem? System monopartyjny albo pozapartyjne łączniki, przy czym autor twierdzi, że nie jest zwolennikiem przeszczepienia pierwszego na grunt polski. W ślad za partyjną prasą narodowo - socjalistyczną, autor podaje nam formułę zwolenników tej koncepcji: „Wódz tworzy ideę, idei służy partia, partia tworzy państwo, państwo obejmuje naród; stąd wódz, partia, państwo i naród stanowią jedność". Ale to tylko dla drobnej ilustracji politycznej metafizyki hitlerowskiej, albowiem, jak już rzekliśmy, autor twierdzi, że nie chce w Polsce totalizmu w stylu hitlerowskim, faszystowskim, czy bolszewickim, czym zwalnia nas z „miłego" obowiązku oceniania zbawczych metod naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów.

A więc ani państwo liberalne, ani państwo — narzędzie walki klas ani państwo totalne ani syndykalistyczne... Cóż więc ma być w Polsce? P a ń s t w o s p o ł e c z n e — odpowiada prof. Makowski. Nie możemy i nie chcemy odmawiać oryginalności ani trafności tego terminu — jaka jest jednak jego konkretna treść ustrojowa, polityczna i socjalna? Na to zasadnicze pytanie autor nie udziela jeszcze wyczerpującej odpowiedzi; odsyła on nas do art. 4. nowej konstytucji polskiej (zapewne zredagowanego przez siebie), który właśnie ma być ideologicznym sformułowaniem zasady państwa społecznego. Zaznaczamy przy tym, że — w pojęciu autora — artykuł ten jest polską deklaracją ideową, równoważną pod względem doniosłości, a krańcowo różną pod względem treści od rewolucyjnej deklaracji francuskiej z 1789 r., która proklamowała zasadę, że „celem każdej organizacji politycznej może być tylko ochrona przyrodzonych praw człowieka".

Posłuchajmy więc brzmienia art. 4. konstytucji kwietniowej, zaznaczając, że ani miejsce ani nasz temat nie upoważniają nas teraz do jego merytorycznej oceny; rozpatrujemy go wyłącznie i jedynie, jako element zasadniczy konstrukcji myślowej omawianej przez nas pracy publicystycznej. Art. 4. brzmi: *„W ramach Państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa. Państwo zapewnia mu swobodny rozwój, a gdy tego dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki"*.

Oczekując więc w cytowanej deklaracji zapowiedzianej odpowiedzi na frapujące nas pytanie, czym jest państwo społeczne, musimy stwierdzić, że nie znajdujemy go w jej pierwszym zdaniu. Stwierdza ono rzeczy powszechnie znane i uznane, że życie społeczne rowzija się oczywiście w ramach (terytorialnych i prawnych) państwa i w oparciu o nie, a nie w jakiejś, teoretycznie tylko możliwej, próżni prawnej. Bardziej doniosłe jest drugie zdanie art. 4. Zapewnienie swobodnego rozwoju życia społecznego ze strony państwa może być przez społeczeństwo tylko powitane ze szczerą radością — ale pozostaje jeszcze w tymże zdaniu alternatywa „nadawania kierunku lub normowania warunków". Otóż nie chcemy i nie możemy rzeczy tych na tym miejscu kwestionować, zwłaszcza gdy ewentualności te mają być zastosowane „gdy tego dobro powszechne wymaga", chcielibyśmy jednak dobrze wiedzieć, kto decydować ma, jakie jest istotne dobro powszechne w zastosowaniu do życia społecznego oraz k t o m a b y ć r z e c z n i k i e m p a ń s t w a s p o ł e c z n e g o i j e g o r a c j i s t a n u?

Tak oto dochodzimy do istoty zagadnienia, a zarazem do istoty różnic, które nas dzielą od koncepcji ustrojowych prof. Makowskiego. Państwo bowiem, w naszym pojmowaniu, nie jest abstrakcją, ale organizacją żywych ludzi, kierowaną i reprezentowaną przez żywych ludzi. Istotą zagadnienia jest więc pytanie, kto ma reprezentować to państwo i w jaki sposób do reprezentacji tej ma być powołany? Państwo społeczne? Owszem, ale państwo, rządzone przez społeczeństwo za pośrednictwem jego faktycznej reprezentacji, wybranej w sposób demokratyczny. wtedy bowiem kontrola państwa nad społeczeństwem będzie obiektywną kontrolą, wykonywaną w gruncie rzeczy przez organy tegoż społeczeństwa i znajdującą swój odpowiednik w kontroli społeczeństwa nad państwem. Naszym zdaniem, jak już to zadeklarowaliśmy, system ten może być osiągnięty najlepiej i jedynie w demokratycznym państwie parlamentarnym. Wtedy jednak państwo „społeczne" będzie tylko nową nazwą dla systemu, będącego już starym ideałem demokracji.

Pozostaje więc druga alternatywa: państwo „społeczne", ale bez udziału społeczeństwa, jako całości, państwo, identyfikowane z tymi, którzy w danym okresie nim rządzą, a więc n. p. z jednostką, grupą, partią, czy w najlepszym razie obozem. Ale i w tym wypadku państwo „społeczne" będzie nową nazwą dla istniejącego już w kilku krajach i dobrze ogółowi znanego państwa „totalnego".

Konkretyzujemy i reasumujemy nasze zarzuty: a u t o r n i e o d p o w i e d z i a ł n a m n a p y t a n i e, j a k i e m a b y ć p a ń s t w o s p o ł e c z n e, p o p r z e s t a j ą c n a p r o k l a m o w a n i u p i ę k n e g o h a s ł a b e z w y r a ź n e j t r e ś c i; w y w o d a m i s w o i m i a u t o r n i e r o z w i a ł n a s z e j o b a w y, ż e p a ń s t w o s p o ł e c z n e m a b y ć p a ń s t w e m b e z u d z i a ł u i k o n t r o l i s p o ł e c z e ń s t w a, j a k o c a ł o ś c i.

Tyle co do oceny pracy p. prof. Makowskiego z naszego punktu widzenia.

Na marginesie tylko cytujemy dwa charakterystyczne zdania polityczne p. wice - marszałka Makowskiego, zasiadającego przed dwoma laty w prezydium Sejmu, który dokonał reformy ustroju państwa i zmiany ordynacji wyborczej: „...*reformy* (ustroju) *nie można przeprowadzić pośpiesznie i nie należy jej dokonywać bez pociągnięcia do udziału możliwie najszerszych grup obywateli; nowy ustrój bowiem, po to, aby miał potrzebną trwałość, musi być dziełem wspólnym, musi posiadać aprobatę społeczną*". A w innym miejscu: „*Parlament musi reprezentować całość społeczną i być obrazem różnorakich potrzeb społecznych; celowi temu służą odpowiednie podstawy wyborcze*".

Miło nam tym razem stwierdzić, że z tymi założeniami autora zgadzamy się całkowicie...

*) *Wacław Makowski: Państwo społeczne. Biblioteka Drogi. tom 8. Warszawa 1936. Str. 135.*

WŁADYSŁAW KONIC

PRZED 75-ciu LATY...

(Z dziejów emancypacji żydostwa polskiego)

W roku bieżącym mija siedemdziesiąt pięć lat od daty, gdy Żydzi, zamieszkujący obszar b. Królestwa Kongresowego, otrzymali po kilkuletnich staraniach częściowe równouprawnienie.

Już w końcu osiemnastego stulecia znakomici mężowie stanu, jak Tadeusz Czacki, ks. Hugo Kołłątaj, poseł Butrymowicz, Julian Ursyn Niemcewicz, ujmowali się na sejmach krzywdy żydostwa polskiego, domagając się ulżenia jego doli i proponując reformę, którąby zachęciła Żydów do twórczej pracy dla Polski.

Niestety upadek Polski przez rozbiory, dokonane przez trzy ościenne państwa, przeszkodził temu szlachetnemu zamiarowi.

Dopiero za czasów b. Królestwa Kongresowego, w roku 1825, na skutek ukazu carskiego z dnia 5 czerwca powołano do życia Komitet Starozakonnych, którego zadaniem było ustalenie bytu moralnego i materialnego Żydów polskich.

Komitet ów zajął się Szkołą Rabinów w Warszawie i miał za zadanie organizację całego szeregu szkół powszechnych z językiem wykładowym polskim dla dziatwy żydowskiej.

Skład Komitetu Starozakonnych był następujący: przewodniczącym był Ignacy Zaleski, jako dyrektor oraz hr. Krasiński i Stefan Witwicki, jako aseserowie.

Przy Komitecie działała Izba Doradcza, składająca się z pięciu członków i tyluż zastępców.

Izba Doradcza składała się wyłącznie z obywateli Żydów, najpoważniejszych i najzamożniejszych mieszkańców stolicy.

— Zasiadali w niej między innymi: Jakób Bergsohn, Salomon Ejger, Doktór Leo, późniejszy neofita. Sekretarzem Izby był znany księgarz i wydawca, Jan Glüksberg, który w kilka lat później walczył w roku 1830 w szeregach powstańczych.

Najważniejszym zadaniem Komitetu Starozakonnych miało być oczyszczenie religii żydowskiej z przesądów i praca nad podniesieniem stanu moralnego i intelektualnego żydostwa polskiego.

Niestety Komisja Rządowa Wyznań Religijnych i Opieki Społecznej, która kierowała pracami Komitetu, wpadła później na tak niefortunny pomysł, że poleciła ksł Chariniemu, przybranemu członkowi Komitetu, zajadłemu antysemicie i fałszerzowi cytat Talmudu, wykładanie na Uniwersytecie Warszawskim starożytności hebrajskich.

Prace Komitetu zostały przerwane na skutek wybuchu powstania listopadowego, gdy nad całym krajem zawisła ciężka dłoń nowego namiestnika carskiego, księcia Paskiewicza, który był bezlitosnym wykonawcą woli tyrana, cara Mikołaja I-go, likwidując wszystkie reformy, jakie wprowadził dla narodu polskiego car Aleksander I.

Pod jednym względem Żydzi otrzymali równe prawa, a mianowicie: na mocy reskryptu carskiego młodzieńcy żydowscy powołani zostali do służby wojskowej, która trwała wówczas ni mniej ni więcej tylko dwadzieścia jeden lat.

Gdy w roku 1855 zmarł car Mikołaj I, cały kraj odetchnął z ulgą, gdyż następca jego, cesarz Aleksander II odznaczał się liberalnymi poglądami i charakterem swoim różnił się od swego despotycznego ojca.

Sfery szlacheckie, które miały podówczas decydujący wpływ na bieg życia politycznego w kraju, były pełne optymizmu, wierząc, że młody monarcha odbuduje Polskę w dawnych granicach.

Sytuacja w kraju polepszyła się również po zgonie księcia — namiestnika Paskiewicza, który zmarł w kilka miesięcy po carze Mikołaju. Cesarz mianował generała Gorczakowa gubernatorem Królestwa.

Wypadki te wywołały również w sferze postępowej żydostwa polskiego nadzieję na lepszą przyszłość.

A stał wówczas na czele postępowców człowiek tej miary, co Matias Rosen, najbogatszy bankier w kraju, który odznaczał się nie tylko niezwykłymi zdolnościami w sprawach finansowych, ale bodaj był najlepszym znawcą kwestii żydowskiej w Polsce.

Jako przewodniczący Dozoru Bóżniczego zwalczał on sfery ortodoksyjne, które niestety miały większość w Zarządzie.

Rosen, widząc bezskuteczność swej pracy w Dozorze Bóżniczym, zrzekł się godności prezesa i poświęcił się pracy nad równouprawnieniem żydostwa polskiego i szerzeniem postępu wśród szerszych mas swych braci. Opiekował się również Szkołą Rabinów i Domem — Schronieniem Sierot i Starców Starozakonnych.

W roku 1857 wystosował razem z Hermanem Mayerem i Teodorem Teoplitzem pismo do Andrzeja hr. Zamoyskiego, który reprezentował stan szlachecki, w sprawie sytuacji żydostwa polskiego z prośbą o pomoc w pracy nad polepszeniem jego bytu i zbliżeniem go do narodu polskiego.

Zamoyski niestety nie dał żadnej odpowiedzi na to pismo.

Dopiero w roku 1861, kiedy cesarz mianował margrabiego Aleksandra Wielopolskiego Naczelnikiem Rządu Cywilnego, akcja na rzecz emancypacji żydostwa polskiego weszła na właściwe tory.

Aleksander Wielopolski był jedynym ówczesnym polskim mężem stanu, który orientował się w sytuacji politycznej nie tylko cesartswa, lecz był świetnym znawcą stosunków europejskich.

Doceniał należycie znaczenia kwestii żydowskiej w Polsce i pragnął ją rozwiązać w sposób najbardziej liberalny dla Żydów i najbardziej pożądany dla dobra kraju.

Uważał, że żydostwo polskie powinno otrzymać równouprawnienie polityczne, a następnie był zwolennikiem przewarstwowienia i zmiany struktury gospodarczej Żydów polskich.

Część ludności żydowskiej, zdaniem Wielopolskiego, powinna osiąść na roli. Delegację żydowską przyjął też bardzo życzliwie i obiecał jej wszelkie poparcie.

Wielopolski osobiście opracował projekt poprawy bytu ludności żydowskiej, który uzyskał aprobatę cesarza i został przezeń podpisany dnia 5 czerwca 1861 roku. Przedstawiciele żydostwa, zachęceni przez margrabiego Wielopolskiego, rozpoczęli walkę o dopuszczenie Żydów w pierwszym rzędzie do urzędów w przedstawicielstwie kupiectwa.

Żydzi bowiem nie mieli do 1861 roku rzeczywistej reprezentacji w Urzędzie Starszych Zgromadzenia Kupców. W roku 1855, na skutek usilnych starań zamożniejszego kupiectwa żydowskiego, Zgromadzenie w dniu 23 listopada tegoż roku mianowało dwóch przedstawicieli z pośród kupców Żydów na urząd podstarszych, ale z głosem tylko doradczym.

Przedstawicielami tymi byli: Mathias Rosen i Mikołaj Guttman.

Dopiero, gdy w kraju rozpoczęły się manifestacje patriotyczne, w których Żydzi brali udział, przedstawiciele społeczeństwa polskiego w stolicy ocenili ten patriotyzm i w dniu 16 lutego 1861 roku zanunowali na Zgromadzeniu Kupców w Magistracie odrębną listę kupiectwa żydowskiego i dopuścili Żydów bez żadnych ograniczeń do Zgromadzenia jako członków rzeczywistych.

W imieniu żydostwa warszawskiego wyraził swe uznanie dla tego szlachetnego czynu rabin Beer Majzels w liście, którego niektóre ustępy przytaczam.

„Z niewymowną radością wyczytałem z Odezwy Urzędu Starszych pod dniem 18 b. m. Nr. 696, mnie łaskawie zakomunikowanej, jednomyślne postanowienie całego Zgromadzenia kupców na ogólnem zebraniu dn. 17 b. m. objawione, którym wniosek Starszego tegoż Zgromadzenia, W. Ksawerego Szlenkiera, przyjęty został jednomyślnie, aby w Urzędzie Zgromadzenia odtąd prowadzona była jedna lista kupców warszawskich wszelkiego wyznania, a to dla usunięcia dotychczasowego odosobnienia, jakie istniało pomiędzy kupcami wyznań chrześcijańskich a kupcami wyznania mojżeszowego".

Dalej w liście pasterskim rabin Majzels w pełnych godności słowach zaznacza: „Dziękować za powyższy czyn Szanownego Starszego, jak i całego Zgromadzenia kupieckiego, byłoby raczej ubliżeniem dla zacnego uczucia, sprawiedliwości, dla przekonań prawych dla dobra kraju dążących, jakie stały się pierwszą pobudką do tak ważnego kroku.

Lecz wstrzymać się nie mogę, a nie powinienem, od wyrazów życzeń i błogosławieństwa".

Reforma Wielopolskiego miała doniosłe znaczenie nie tylko dla Żydów, lecz również dla całego kraju. Dzięki Wielopolskiemu zniesiono cały szereg ograniczeń, z których najgorszym i najbardziej poniżającym były podatki specjalne, pobierane od Żydów.

Miasta, które miały dawniej przywileje o nietolerowaniu Żydów na skutek reformy tej musiały zrezygnować z tego średniowiecznego prawa. Żydzi zostali dopuszczeni prawie do wszystkich zawodów: do adwokatury, medycyny, studiów technicznych oraz mieli prawo nabywać majątki i osiedlać się na roli.

Dzięki temu miasta, które poprzednio wegetowany, np. Częstochowa, Włocławek, Kielce, Radom i inne stały się poważnymi ośrodkami przemysłu i handlu, wzbogacając kraj cały.

Ci Żydzi, którzy wyszli z wszechnic, stali się później oddanymi patriotami i brali udział w powstaniu, a następnie po jego upadku pracowali w najcięższych chwilach dla dobra Polski.

*

Tych kilka wspomnień z minionych czasów nie od rzeczy jest zanotować w roku 1937. —

Robert Weltsch

Młode Indie

(Na marginesie autobiografii Jawaharlal'a Nehru)

Nowa konstytucja indyjska wchodzi obecnie w dalsze stadium urzeczywistnienia. Indie są wielkim, centralnym eksperymentem kolonialnym Anglii; świadomie czy też podświadomie z tamtąd pochodzą wszystkie doświadczenia i metody angielskiej polityki kolonialnej. Łączność, która zachodzi pomiędzy Indiami a Palestyną uwidoczniona jest chociażby w fakcie, że prawie wszyscy urzędnicy angielscy, wysyłani do Palestyny, pochodzą z indyjskiej administracji cywilnej (I. C. S.), a przewodniczący urzędującej obecnie Komisji Królewskiej dla Palestyny jest byłym sekretarzem stanu dla Indii. Obserwując stanowisko oficjalnej Anglii wobec zagadnienia indyjskiego, możemy ujrzeć w nowym świetle wiele objawów angielskiej polityki palestyńskiej, które czasem są nam całkowicie nie zrozumiałe. Nie chodzi tu tylko o oglądanie się Anglii na muzułmanów indyjskich, o czym często się u nas mówi, ale o zasadniczą okoliczność, że właśnie w Indiach najwyraźniej ukształtowała się zwlekająca, elastyczna a zarazem ustępliwa (lecz mimo to wierna żywotnym interesom Albionu) taktyka Anglii w stosunku do żądań samorządowych ludności miejscowej; taktykę tę często przeszczepia się z Indii do innych krajów.

Rzut oka na Indie wyjaśnia nam też wiele, jeśli chodzi o sposób myślenia Arabów palestyńskich i poza-palestyńskich. Albowiem wszystkie te walki konstytucyjne narodów kolonialnych w większym lub mniejszym stopniu wzorują się na Indiach. Nigdzie nie uwidacznia się tak wyraźnie w jak silnym stopniu angielski świat pojęć zostaje przejęty przez narody kolonialne, przemieniając się w broń przeciw Anglii. Ten proces historyczny powstawania nowej, przez Europę zapłodnionej, mentalności orientalnej został wspaniale przedstawiony w autobiografii jednego z młodszych indyjskich bojowników niepodległościowych, 47 lat liczącego Jawaharlal'a Nehru („An Autobiography", Wydawnictwo John'a Lane, London str. 607+13 obrazów). Nehru, autor równocześnie wydanego krótkiego zbioru doniosłych artykułów politycznych („India and the World" — Allen & Unwin, London, str. 262); napisał swą biografię w więzieniu. Zawiera ona historię Indii od r. 1920 do 1935, opis ruchu rewolucyjnego, wewnętrzno-indyjskich różnic zdań odnośnie do metod walki wyzwoleńczej wreszcie ostrą i nieprzejednaną krytykę oraz negację angielskich rządów kolonialnych. Okolicznością charakterystyczną oraz doniosłą dla oceny nastawienia angielskiego jest fakt, że podobna książka — której autor w powszechnym pojęciu jest „zdarjcą stanu", biorącym udział w walce przeciw władzy państwowej — może ukazać się z wszystkimi honorami w samym Londynie, w metropolii zwalczanego przez niego państwa, ciesząc się do tego niebywałym powodzeniem (od kwietnia do sierpnia dziewięć wydań!). Powodzenie to jest zresztą z literackiego punktu widzenia całkowicie usprawiedliwione, albowiem ta nadzwyczaj dobrze napisana książka stanowi prawdziwy dokument polityczny i ludzki.

Trudno oczywiście w ramach artykułu oddać wszystkie stadia tego życia i walki — wystarczyć musi rzucenie kilku snopów światła. Fascynujący już jest opis lat dzieciństwa i młodości. Autor, którego ojciec Pandit Motilal Nehru był bogatym adwokatem o zachodnim wykształceniu i jedną z najbardziej wybitnych osobistości starszego pokolenia ruchu niepodległościowego, wychowywał się w Allahabad w wolnomyślnym środowisku Braminów. Był to okres wyzwalania się z prastarych więzów tradycji religijnej, dający się zaobserwować także u innych narodów (również u Żydów) przy zetknięciu się z kulturą zachodnią. Młody Jawaharlal miał angielskich wychowawców, uczył się wprawdzie także indyjskich mitów i tradycji, pozostał jednak bardzo krytyczny w stosunku do indyjskich zwyczai rytuałów. Jawaharlal opowiada też, że w kaście Kaszmiri surowo zabronione były małżeństwa mieszane (z innymi Hindusami albo zgoła nie-Hindusami), obie jednak siostry jego wyszły za mąż nie za Kaszmirów, a inny członek rodziny poślubił nawet węgierską dziewczynę. We wczesnej młodości Jawaharlal czytał dużo książek angielskich, a w 13. roku życia został on uroczyście wprowadzony do Towarzystwa Teozoficznego. Teozofia pozostała dlań tylko krótkim epizodem. Coraz silniej bowiem występuje jego czysto- świecki, areligijny sposób myślenia. W pietnastym roku życia młody Nehru wstępuje do słynnej szkoły Harrow w Anglii, gdzie czuł się on bardzo dobrze. W rozdziale tym znajdujemy m. in. następujący ustęp:

„W domu, w którym mieszkaliśmy, a także w innych domach uczniowskich zamieszkiwali nieliczni Żydzi. Zachowywali się oni zupełnie dobrze, ale zawsze odczuwało się pewne antysemickie nastroje. Uważano ich za „potępionych Żydów", a rychło także i ja począłem nie świadomie wierzyć, że słuszne jest hołdować takim uczuciom. Nigdy jednak nie odczuwałem prawdziwie po antysemicku, a w późniejszych latach miałem wielu dobrych przyjaciół wśród Żydów".

W Cambrigde, gdzie Nehru studiował w r. 1907, istniał klub indyjski, w którym odbywały się dyskusje polityczne. Brał też on żywy udział w tym wszystkim, co wówczas interesowało młodych ludzi, począwszy od awiotechniki a skończywszy na Freudzie i Weiningerze. W klubie dyskusyjnym kolegium słyszał on też Edwina Montagu, późniejszego sekretarza stanu dla Indii (jak wiadomo, był on Żydem). Nehru opowiada, że z jego ust poznał on nowoczesną definicję wiary: „wierzyć w coś, co według rozumu może nie być prawdą, jeśliby bowiem to coś pozostawało w zgodzie z rozumem, nie byłoby to ślepą wiarą." Nehru był całkowicie opanowany przez pojęcia nauki o naturze, albowiem „nauka o naturze 19. i początku 20. stulecia, w przeciwieństwie do współczesnej, była bardzo pewna siebie". Nacjonalizm indyjski z r. 1907, podobnie jak każdy nacjonalizm orientalny, miał silne podłoże religijne, od którego to podłoża młodzi poczęli się odwracać. Zapowiadała się wtedy nowa era. Lecz oto w 25 lat później Jawahrlal znowu staje pozbawiony świadomości w obliczu fenomenu religijnego, gdy uwielbiany przezeń Gandhi począł prowadzić walkę narodową przy pomocy religijnych środków.

Wróciwszy do Indii, Jawaharlal rzuca się w wir polityki indyjskiej, staje się rychło jednym z przywódców stronnictwa „kongresowego." Jest on wtedy intelektualistą i wolnomyślicielem opanowanym przez zdecydowanie nowoczesne poglądy. Rządzą nim angielskie ideały wolności politycznej, „fairness" oraz gentlemaństwa;i oto te angielskie kryteria stosuje on oceniając angielską administrację i rząd w Indiach. Anglicy zwalczają go, wsadzając wciąż na nowo do więzienia, ale nie pozbawieni są oni zrozumienia dla przeciwnika; utrzymują oni stosunki z ludźmi, którzy wystąpili w charakterze rebeliantów i siedzieli w więzieniu, okazując im po uwolnieniu pełny respekt. Tak odnosili się oni do Gandhiego, Nehru i wielu innych, tak musieli się też ustosunkować do deportowanego przez nich Zaghlula w Egipcie, uznając go później za przywódcę swego narodu. W myśl podobnej zdaje się recepty Anglicy działali w Palestynie, gdzie Wysoki Komisarz w okresie powstania odwiedził jego prowodyrów, zamkniętych w obozie koncentracyjnym, mimo, że zgodnie z literą prawa byli oni zbrodniarzami; albo gdzie wojskowemu przywódcy powstania zaaranżowano odwrót z honorem i gdzie uwolnioych z obozu koncentracyjnego uznano ponownie za politycznych przywódców. To dziwne zachowywanie się Anglików z jednej strony, oraz naiwne, bezkompromisowe postulaty niepodległościowe młodszej generacji, z drugiej strony, poznajemy gruntownie z opisów Jawarhalal'a Nehru.

Wiele również dowiadujemy się z opisu wewnętrzno-indyjskich stosunków partyjnych. Typowe są różnice zdań pomiędzy poszczególnymi grupami nacjonalistów. Oto z jednej strony stoją politycy realni, pragniący etapami kroczyć naprzód po drodze rokowań z Anglią i — jak mówi Jawarhalal — przez przyjmowanie stanowisk rządowych stać się powoli niewolnikami systemu. Anglia przyciąga ich ku sobie, spłacając zarazem przez ich nominacje daninę nacjonalizmowi indyjskiemu. Może to ułatwi lepsze zrozumienie przyczyny, dla której Herbert Samuel uwolnił z więzienia podżegacza Hadsz Emin'a i osadził go na krześle Mufti'ego Jerozolimy, i czemu Mufti usilnie starał się uniknąć bodaj pozoru pogodzenia się z regime'm mandatowym. Przeciw politykom realnym występują rozmaite typy nieprzejednanych: po jednej strnie Gandhi ze swą zasadą nie uznawania przemocy i stosowania walki gospodarczej przy pomocy samodzielnego przędzenia, po drugie stronie młodzi, odrzucający wszelką postać współpracy z rządem i pragnący prowadzenia polityki wolnościowej na szeroką skalę. W punkcie niejako środkowym mieści się zasada „Non-Cooperation" bez posługiwania się środkami gwałtu — hasło, wysunięte zresztą i przez inne narody orientalne. Niezmiernie w Indiach skomplikowana sytuacja socjalna, została uznana za problem dopiero przez młodszych, a w ich rządzie przez Jawaharlal'a Nehru. Istnienie milionowych mas, które nie zostały jeszcze obudzone do życia narodowego, jest elementem rzeczywistości indyjskiej, podobnie jak naprężenie pomiędzy Muzułmanami a Hindusami, stanowiąc poważne obciążenie indyjskiego ruchu narodowego. Muzułmanie byli oburzeni na sposób traktowania Turcji po wojnie światowej. Bracia Ali, w czasie wojny uwięzieni przez Anglików, usiłowali połączyć Muzułmanów z Gandhim i ruchem narodowym. Obaj później stali się znani kołom syjonistycznym;Mohamed Ali umarł w styczniu 1931 r. w czasie londyńskiej Konferencji Okrągłego Stołu i został wtedy, z inicjatywy Muftiego jerozolimskiego, pochowany w Haram es Szeriff w Jerozolimie, podczas gdy brat jego, *Szaukat Ali* w brzemiennym w wydarzenia r. 1930 żywo zajął się sprawą Arabów palestyńskich, interweniując na ich korzyść w Anglii. Jego skłanianie się do idei pan-islamskich oznaczało zarazem odwrócenie się od ruchu narod. Autobiografia Nehru, pełna ostrej krytyki w stosunku do dawniejszych przywódców indyjskich, przy zachowaniu wobec nich pełnego respektu, obrazuje z indyjskiego punktu widzenia rozwój rokowań z Anglią aż do Konferencji Okrągłego Stołu. Jej rezultat w bieżącym roku znajdzie wyraz w uchwałach parlamentu angielskiego w postaci nowej konstytucji dla Indii.

Trudno znaleźć lepszą książkę dla zrozumienia tego, co obecnie dzieje się na Wschodzie. Europeizacja Indii posunęła się daleko; już kilka pokoleń młodzieży ze stanu średniego studiowało na angielskich uniwersytetach. I oto ten dojrzały już pupil pragnie usamodzielnić się i wyzwolić się z pod opieki. Jawaharlal wie dobrze czego chce: odrzuca on drobne koncesje, wiedząc, że „życie zawsze zmusza do kompromisów" — pomiędzy brytyjskim imperializmem a indyjską wolnością nie ma zaś — zdaniem Nehru — kompromisów. Nie chcemy, mówi on, „nowej administracji ale nowego państwa... Tylko całkowite usunięcie panowania brytyjskiego umożliwi powstanie prawdziwej współpracy indyjsko-brytyjskiej".

Negowanie imperializmu nie oznacza jednak negowania angielskiej kultury. „Ja osobiście zbyt wiele zawdzięczam Anglii, jeśli chodzi o moje duchowe wykształcenie, abym mógł pozostać wobec niej zupełnie obcy. Cokolwiek czynię, nie mogę uwolnić się od sposobu myślenia i kryteriów którymi posługuję się w ocenie życia, a te przyswoiłem sobie w Anglii. Cały mój sentyment (poza polityką) należy do Anglii i angielskiego narodu, jeśli zaś zostałem nieprzejednanym przeciwnikiem panowania angielskiego, to stało się to wbrew mojej własnej woli".

Znaczna część 68 rozdziałów książki posiada motto, po większej części wzięte z angielskiej albo indyjskiej literatury. „Epilog" książki zaopatrzony jest powiedzeniem z Talmudu: „Dano nam do wykonania pracę, ale nie było nam sądzone pracę tę dokończyć" (chodzi tu widocznie o trochę nie ścisłe, ale zgodne z sensen oddanie powiedzenia Rabbi Tarfona w „Pirke Aboth" II, 16). Słowa te Nehru napisał w więzieniu dnia 14 lutego 1935 r., bez rezygnacji i w przeświadczeniu, że ma jeszcze przed sobą długie lata walki. Wierny swej absolutnej miłości prawdy, przyznaje się on jednak do świadomości, że nie reprezentuje uczuć mas indyjskich: „Mam w sobie niezwykłą mieszaninę Wschodu i Zachodu, wszędzie jestem nie na właściwym miejscu, nigdzie u siebie w domu. Możliwe, że moje poglądy życiowe bliższe są temu, co nazywa się „zachodnie" aniżeli „wschodnie", ale Indie związane są ze mną jak z wszystkimi swymi dziećmi za pośrednictwem niezliczonych form przywiązania; a czuję w sobie rasową tradycję stu generacji Braminów. Nie mogę się uwolnić ani od dziecińśtwa przeszłości, ani od moich nowych zdobyczy. I jedne i drugie stanowią część mojej jaźni i aczkolwiek są mi one pomocne zarówno w moich stosunkach ze Wschodem jak i Zachodem, to jednak wywołują we mnie uczucie duchowego osamotnienia nie tylko w mojej działalności publicznej, ale także w samym życiu. Jestem obcym i cudzoziemcem na Zachodzie. Ale także we własnym moim kraju czuję się często jak wygnaniec".

Niezmiernie interesująca książka. Jeśli nawet nie każdy podziela wszystkie polityczne poglądy i sądy autora — który dziś znowu jest prezydentem Indyjskiego Kongresu Narodowego — czytając jego autobiograię, pozostaje w ciągłym napięciu. Poznaje się nie tylko nad wyraz silną osobistość, ale także istotę ludzi, którzy zawieszeni pomiędzy Wschodem a Zachodem, coraz bardziej stają się decydujący dla losów Wschodu.

Michael Assaf

Panislamizm

Z cyklu: Arabski ruch narodowy w Palestynie

W ciągu 19. stulecia potęga imperium tureckiego zwolna i stopniowo malała. Los jego i byt coraz bardziej stawały się zależne od łaski wielkich mocarstw europejskich. Na ten okres przypada też proces opanowywania ludów muzułmańskich przez państwa chrześcijańskie. Wytworzyła się paradoksalna wprost sytuacja: cały świat islamski, potężny blok 200 do 250 milionów ludzi, którzy mimo dyferencjacji grupowej tworzył jednak dzięki wspólnej wierze w Allaha i jego proroka, Mahometa jednolitą, zwartą i mocną całość, — poddany został władzy obcych mocarstw i znienawidzonej religii. W fakcie tym tkwiła wielka sprzeczność, która zrodzić musiała bunt, a w końcu spowodować eksplozję.

Islam trwa wciąż twardo i bezkompromisowo przy swych pierwotnie ustalonych zasadach. Nowa twórczość i ciągłe odnawianie pojęć — są mu obce. Mimo jednak swego zamrożonego charakteru tworzy Islam po dzień dzisiejszy wielką siłę żywotną. Opanowany jest przez fanatyzm, połączony z uczuciem zawiści.

Ojcem ruchu panislamskiego był Dżemal Addin al Afgani. Urodził się on w roku 1858 w Afganistanie, względnie w Persji. Wędrował z jednego kraju muzułmańskiego do drugiego. Był jednocześnie doskonałym znawcą Islamu, stosunków muzułmańskich, jak również i współczesnej mu nauki europejskiej. Celem jego było stworzenie z Islamu wielkiej, samodzielnej siły polityczno-religijnej. Afgani obdarzony był niepospolitymi zaletami osobistymi. Był jednocześnie literatem, publicystą o ciętym stylu, politykiem, myślicielem, mówcą, organizatorem i propagandystą. W roku 1871 przybył do Egiptu i od tej chwili datuje się jego żywa działalność w kierunku obudzenia drzemiących sił Islamu, ich połączenia i konsolidacji w walce przeciw europejsko-chrześcijańskiej władzy. Wątpliwość co do miejsca urodzenia Afgani'ego jest symboliczna. Ojczyzną jego był właściwie cały świat muzułmański: Afganistan, Persja, Egipt, Turcja i Buchara. Stał on ponad wszelkimi różnicami, które dzieliły świat arabski. *Ostatecznym i jedynym jego celem było stworzenie jednolitego imperium islamskiego w skali światowej.*

Afgani walczył przede wszystkim przeciwko Anglii i Rosji. Czuł, że obydwa te mocarstwa, zarówno w teraźniejszości, jak i w przyszłości, — stanowią najgroźniejsze dla politycznej całości Islamu niebezpieczeństwo. A ponieważ Afgani nie uznawał różnicy między polityką a religią — widział w zwycięstwie Anglii i Rosji na Wschodzie upadek muzułmańskiego świata w ogóle.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Afgani ściągnął przez to na się nienawiść narodów imperialistycznych. Ale nie brakło mu również wrogów wśród swych współwyznawców. Ortodoksi muzułmańscy, konserwatyści i przeciwnicy wszelkich reform, widzieli w Afgani'm siłę, która kruszy tradycyjne podstawy Islamu. W metodach jego walki z imperializmem, w akcentowaniu przezeń haseł wolności i równości (Afgani był wolnomularzem) wyczuwali groźne dla Islamu niebezpieczeństwo. Odczyty Afgani'ego w Konstantynopolu (1870) podrażniły szeika Al-Islama. Afgani mianowicie podniósł w odczytach tych, że proroctwo jest jednym z mstrzowskich tworów geniuszu ludzkiego. A gdy stanął w obronie Islamu, odpierając zarzuty materialistycznej filozofii i poglądy Renana o sprzeczności nauki Mahometa z nowoczesną nauką i wiedzą europejską — Afgani wywołał burzę w zakrzepłym wielowiekową tradycja świecie muzułmańskim. Afgani był przede wszystkim rewolucjonista politycznym i ortodoksi Islamu rozumieli, że podłoże religijne jego ruchu ma tylko uboczne znaczenie. Wedle Afgani'ego Islam jest — w odróżnieniu od chrześcijaństwa — religią, związaną z ziemią, wciąż odradzającym sie objawieniem. Pouczał dalej, że wolność, równość i braterstwo stanowią podstawę ludzkiej społeczności i dla tego imperializm — tak poltyczny, jak i gospodarczy — jest błędem i grzechem. Obowiązkiem społeczności muzułmańskiej jest walka o wolność w drodze czynu rewolucyjnego.

W roku 1878 podjęły obce mocarstwa (Komisja Kontrolująca Wierzycieli Europejskich, składająca się przeważnie z Anglików i Francuzów) akcję wespół z fanatycznym szeikiem, Al Asharem i wypędziły Afgani'ego z Egiptu. Ten sam los spotkał w roku 1882 Afgani'ego w Indiach. Twórca ruchu panislamskiego rozpoczął tułaczkę. Działał przez czas dłuższy w Ameryce i innych krajach, w końcu na podstępne zaproszenie szacha perskiego udał się do Persji, skąd okuty w kajdany odstawiony został pod eskortą 500 żołdaków do granicy. Perscy uczniowie Afgani'ego kontynuowali jednak jego działalność, której koroną było zamordowanie szacha. Przebywając w Europie, Afgani rozwinął na szeroką skalę zakrojoną działalność propagandową na rzecz swojej idei. Wespół z uczniem swym, Muhamed Abduh wydawał czasopismo p. n. „Mocny kierunek" (Al Urwa al Wutka — wyrażenie z Koranu), któremu przypisać należy specjalne znaczenie. Pismo to było w strefie wpływów angielskich zabronione, a rozchodziło się tam wyłącznie w drodze przemytu. O tym, jak duży był wpływ Afgani'ego w świecie muzułmańskim, świadczy fakt, że Anglia nie zawahała się prosić jego o pomoc w stłumieniu buntu Mahdi'ego w Sudanie. Pertraktacje te zresztą skutku nie odniosły. Również carska Rosja gościła Afgani'ego w Petersburgu.

Prześladowany, ścigany i potępiany, czuł się Afgani zmuszony przyjąć w roku 1892 zaproszenie sułtana Abdul Hamida i osiadł w Konstantynopolu. Sułtan chciał pozyskać Afgani'ego dla swych celów, które zmierzały do uratowania Turcji od zagłady, grożącej jej ze strony nurtującvch zrewoltowany świat muzułmański idei. Afgani rychło się przekonał, że jest jeńcem sułtana (nie wolno mu było opuścić Turcji). Dopóki mógł, służył chytremu, samolubnemu i kapryśnemu władcy Porty, nie oczekiwał już jednak uznania za swą pracę. W roku 1897 zmarł.

Jak już wspomnieliśmy, uczniem Afgani'ego był Muhanmed Abduh (1849—1905). Abduh przewyższał swego nauczyciela głębią umysłu i gruntownością podejścia do interesujących go zagadnień. W przeciwieństwie do Afgani'ego, który był pozbawionym ojczyzny kosmopolitą islamskim, — Abduh był patriotą egipskim, związanym nie z abstrakcyjną kulturą islamską, lecz ściśle z arabsko-muzułmańską kulturą. To nastawienie oddaliło Abduh od nadmiernego rewolucjonizmu Afgani'ego. Dążył on do wychowania w drodze ewolucji arabskiego społeczeństwa, do przebudowy wszystkichjego instytucji. Zgadzał się ze swym mistrzem co do celu ostatecznego, różnił się odeń w płaszczyźnie drogi, która do tego celu prowadzić miała. Afgani był w gruncie rzeczy politykiem, Abduh zaś teologiem i wychowawcą. Środkami działania Abduh były: głęboka ewolucja pojęć religijnych oraz reforma prawodawstwa i wychowania. W wewnętrznej reformie muzułmańskiego społeczeństwa, w wyzwoleniu się z pod jarzma skostniałej tradycji, w tworzeniu pomostu między religią a wiedzą, w odgraniczeniu woli od fatalistycznych poglądów widział Abduh drogę do odrodzenia Islamu i muzułmanów zarazem. Abduh brał wprawdzie udział w powstaniu Arabi Pasza (1882), ale nie ulega wątpliwości, że dał się tu raczej porwać wypadkom, w zasadzie bowiem był czynowi rewolucyjnemu przeciwny. Jako patriota egipski zgłosił Abduh swój akces do obozu narodowego Egiptu.

Abduh całą swą energię poświęcił reformie instytucji oświatowych i prawodawstwa religijnego oraz działalności literackiej w piśmiennictwie arabskim. Jego badania nad językiem arabskim i komentarze do Koranu stanowią odrębną kartę w dziejach kulturalnego odrodzenia Arabów. Abduh rozwinął też silnie rozgałęzioną działalność dziennikarską (przez długi czas był naczelnym redaktorem oficjalnego organu rządu egipskiego). Abduh był bezsprzecznie pomostem między panislamizmem a panarabizmem.

Afgani i Abduh próbowali też nadać ruchowi panislamskiemu pewne formy organizacyjne. W tym celu stworzyli oni zrzeszenie pod nazwą „Al Urwa al Wuthka", którą nosiło też wspomniane powyżej czasopismo. Żywot zrzeszenia był jednak krótki.

Panislamizm zdziałał bardo wiele jako ruch, który wszczepił nowe wartości w dotychczas skostniały organizm świata muzułmańskiego. Miał ogromne znaczenie jako ruch, który odrodził politycznie muzułmanów. Samo ukazanie się takich mężów, jak Afgani i Abduh, którzy ożywieni byli postępowymi ideami Zachodu, a jednocześnie byli fanatycznymi muzułmanami, — było zjawiskiem o kolosalnym wprost znaczeniu w dziejach islamskiego świata.

W chwili jednakże, gdy idea panislamska pretendować poczęła do określonych form organizacyjnych, — wyszła na jaw jej słabość i bezsilność. Istotne bowiem interesy ludów muzułmańskich, różniących się między sobą rasą, językiem, kulturą, położeniem geograficznym, nastawieniem w polityce zewnętrznej, warunkami ekonomicznymi, sprawami dynastycznymi i t. d. — są tego rodzaju, że wszelkie próby ujęcia ich w formę jednolitej organizacji spalić muszą na panewce.

Ruch panislamski żyje dalej, pod postacią idei muzułmańskiej solidarności, która i obecnie duże posiada znaczenie jako środek pomocniczy poszczególnych ruchów politycznych i narodowych w krajach muzułmańskich.

Do omówienia ruchu panarabskiego przejdziemy w następnym artykule.

Doc. Dr. Edmund Stein

Synaj, Olimp i Golgota

Na marginesie dzieła Ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza p. t. „Od Jahwy do Mesjasza"

Bywają naukowe książki, których znaczenie polega na tym, iż rzucają zarzewie poważnej polemiki, podczas gdy same głoszone w nich tezy na bardzo kruchych opierają się podstawach, między innymi na argumentach ex ignorantia. Zasługa danych autorów leży wtedy raczej w postawieniu odnośnych zagadnień, aniżeli w próbie ich rozwiązania.

Tak się rzecz ma z wydaną 10 lat temu książką prof. Tadeusza Zielińskiego p. t. Hellenizm a Judaizm. Co za szerokie perspektywy i bogactwo problemów, pobudzających do myślenia! A jednak tezy Zielińskiego o genetycznym związku chrześcijaństwa z hellenizmem nie wytrzymują krytyki jak to wykazali różni uczeni z różnych podchodząc punktów widzenia (Ganszyniec, Mieses, Stein, ks. Szydelski). Atoli błędy są częstokroć czynnikiem owocnym o ile wnoszą ferment i życie w krytykę literacką czy naukową

Pozytywnym wynikiem takiego fermentu, spowodowanego książką Zielińskiego jest dzieło ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza p. t. „Od Jahwy do Mesjasza" (nakład księgarni św. Wojciecha, Poznań 1936 str. IIX+356).

Jednakże, jakkolwiek punktem wyjścia, a nawet poniekąd główną osią tego dzieła są tezy Zielińskiego, Autor traktuje odnośne zagadnienia szerzej i głębiej tak, że pewne wywody, n. p. dotyczące idei przymierza Izraela z Bogiem (berith) i proroctwa, stanowią syntetyczną rozprawę o tychże fenomenach żydowskiego monoteizmu. Polemika przeciw Zielińskiemu służyła tu tylko jako zaczyn i bezpośrednia pobudka do tych wywodów. Poważny ton i pewne zacięcie retoryczne i patetyczne jakoteż częste nawiązywanie do aktualnych problemów naszej doby — to wszytsko daje dziełu swoisty wdzięk i urok.

W dziele Teodorowicza można rozróżnić trzy kompleksy zagadnień:

1) Stary Testament a hellenizm;

2) stosunek chrześcijaństwa do Starego Testamentu;

3) Stary Testament, chrystianizm a żydostwo talmudyczne.

STARY TESTAMENT A HELLENIZM

I

Pierwsze rozważania Autora poświęcone są problemowi: Bóg i boskie atrybuty. *Żywy, osobowy Bóg Izraela, stwórca świata, nie daje się porównać ani z politeizmem helleńskim, ani anwet z filozoficznym bóstwem Platona, Arystotelesa i Stoy. „On, ten niefilozoficzny Żyd, ma definicję Boga: „Jam jest którym jest" (Wyjść. 3, 141), wobec której pomysły Platona o Bogu są dziecinnym szczebiotem".

Najbardziej znamiennym rysem charakteru Boga Starego Testamentu jest Jego *świętość*. Idea świętości jest „tonem zasadniczym w wielodźwiękowym akordzie dziejów Starego Testamentu" (Paffrath). Tymczasem historia Olimpu zawiera w sobie rysy, moralności kompromitujące bóstwa, a można śmiało powiedzieć, jest historią bóstw pod wielu względami skandaliczną".

Zieliński twierdzi wprawdzie, że Grek nie brał takich historii czy historyjek Olimpijczyków zbyt poważnie. uważając je za ludowe klechdy. Autor natomiast powołuje się na ostrą krytykę samych Hellenów (Ksenofanes, Platon), którzy czuli dobrze jaki jad demoralizacji sączy się z tych bezbożnych mitów w bogach w duszę narodu greckiego.

Z ideą świętości wiąże się nierozerwalnie idea sprawiedliwości , zarówno indywidualnej, jak i w sensie sprawiedliwości dziejowej. Grecki politeizm natomiast jest źródłem moralnego chaosu. Zieliński popełnia ten błąd, że przedstawia niektóre wzniosłe zdania poetów i filozofów greckich jako dowód wyższości religii antycznej. W samej rzeczy byli ci Hellenowie lepsi od swoich bogów. W judaizmie zaś jest Bóg najwyższą instancją moralności, a sankcja ma charakter nadprzyrodzony, boski. Hellenizm i w ogóle religie pogańskie nie znają takiej sankcji. Wymownym przykładem są nasze czasy, w których brutalne pogaństwo wychyla się ze swych mrocznych czeluści, zagrażając pokojowi świata „Wszczęto wielką wojnę narodów tylko w imię sprawiedliwości" — tymczasem — „jakby na jej urągowisko i urągowisko własnej krwi w wielkiej wojnie przelanej, z cynizmem dotąd niewidzianym głoszone jest zmartwychwstające hasło: siła przed prawem!"

Także inne artykuły Boga Izraela, jak miłość, a nawet gniew i zazdrość Boga, jako odpowiednik miłości, budują i wzmacniają człowieka moralnie. Judaizmowi właściwy jest optymizm ze świadomości, że się jest pod serdeczną opieką sprawiedliwego i dobrotliwego Boga; hellenizm zaś rodził skłonność do pesymizmu.

Doskonałym wyrazem boskiego objawienia jest dekalog (dziesięcioro przykazań). Znaczenie dekalogu dla rowoju ludzkości jest fundamentalne, gdyż jest on wzniosłym wyrazem humanitarności. „Jak ludzkość, jeśli chce zawrócić z obłędnych dróg musi zawrócić do sumienia, tak musi się ona poddać i Dekalogowi, który jest tego sumienia wyrazem i sumieniem".

Omawiając inne przykazania biblijne, oparte na etyce społecznej, dochodzi Autor do wniosku, że słuszność ma kardynał Faulhaber, twierdząc: „Nie ma tu drogi pośredniej. Albo — albo. Albo wierzymy w to, że księgi święte spisane są pod natchnieniem Bożem, albo musimy powiedzieć narodowi żydowskiemu: Ty jesteś rasą najbardziej geniuszem obdarzoną w dziejach świata".

Autor wybiera następnie pewne momenty z dziejów kultury Starego Testamentu, jak stanowisko kobiety, sposób prowadzenia wojny, stosunek do obcego przybysza itp. Na podstawie tego materiału wykazuje Autor że ustawodawstwo mojżeszowe przewyższa o całe niebo ustawodawstwo greckie.

Ramy pisma apologetycznego przełamuje stanowczo część dzieła, traktująca o proroctwie. Mamy tu syntetyczny pogląd na istotę tego jedynego w swoim rodzaju fenomenu monoteizmu żydowskiego. Usiłowania Zielińskiego, aby przeciwstawić greckich „proroków" prorokom Izraela, polegają na pomieszaniu pojęć. Wykręni wróżbici greccy nie mają z proroctwem nic wspólnego. Także mikrologiczne dociekania Zielińskiego, czy przepowiednie hebrajskich proroków spełniały się zawsze we wszystkich szczegółach i szczególikach, jest zapoznawaniem istoty proroctwa i owych gigantów duchowych jakimi byli prorocy Syjonu.

Bezwzględną wyższość Starego Testamentu nad hellenizmem można także udowodnić, biorąc za punkt wyjścia postaci herosów biblijnych. Zieliński okazał zupełny brak zrozumienia dla estetycznej strony Starego Testamentu. Pod tym względem więcej mają wagi zdania Herdera i Goethego niż bardzo subiektywny i dowolny sąd polskiego filologa.

Obcy o nas

Podróż trzech Anglików do Palestyny

H. V. Morton: „In the Steps of St. Paul." Rich & Cowan Ltd., London 440 str.

St. John Ervine: „A Journey to Jerusalem." Hamish Hamilton, London. 366 str.

John Gibbons: „The Road to Nazareth." Robert Hale & Co., London. 320 str.

Co sądzi przeciętny kulturalny Anglik o syjonizmie i o procesie jego realizowania w Palestynie? Albo ściślej: co o tych rzeczach przeciętny Anglik *wie?* oto pytania, na które odpowiedź jest dla nas często nie mniej doniosła od deklaracji i wypowiedzeń się oficjalnych przedstawicieli politycznych mandatariusza palestyńskiego.

Czytając trzy, ostatnio wydane w Londynie, książki o Palestynie, dochodzi się do mało pocieszającego wniosku, że niezależnie od sympatii lub antypatii w stosunku do syjonizmu, *przeciętny Anglik wie o tych rzeczach bardzo niewiele.*

Dwie wspólne cechy łączą omawiane książki trzech pisarzy angielskich. Oto opisach w nich podróże palestyńskie miały miejsce w okresie, bepośrednio poprzedzającym ostatnie rozruchy, a podróż Mr. Gibbons'a przypadła nawet na sam czas niepokojów. Do tego wszystkie trzy książki zostały napisane przez autorów, szczycących się w Anglii licznymi rzeszami czytelników z różnych sfer i kół społecznych. Mr *Morton*, znany dzięki swym doskonałym książkom o krajobrazie angielskim, opublikował w ubiegłym roku książkę p. t. „In the steps of the Master"; książka ta, poświęcona życiu Chrystusa, zawiera świetny opis Palestyny. Mr. St. John *Erivne* jest znanym krytykiem teatralnym londyńskiego pisma „Observer" — konserwatywnego organu niedzielnego o wysokim poziomie kulturalnym. Mr John *Gibbons* wreszcie jest autorem katolickim, którego podróżnicze książki cieszą się dużym popytem.

Dalszą, tym razem dla nas ujemną, cechą tych książek jest fakt, że ich autorzy *prawie, że nie widzieli nowej, żydowskiej Palestyny*. Mr. *Morton*, posiadając określony temat, musiał rychło opuścić Palestynę, w której *rozpoczął* tylko pielgrzymkę„ śladami św. Pawła." Mr. *Ervine* przyłączył się do jednej z tych „ekskursji", które, załatwiają się" z Palestyną w ciągu kilku dni, dając ledwo trochę czasu na zwiedzenie zabytków religijno-historycznych. Mr. Gibbons, zamierzający jedynie zwiedzić miejsca święte, wbrew własnej woli został wciągnięty przez zaburzenia w wir politycznych zagadnień Palestyny; mimo to starał się te sprawy jakoś ominąć. W kadym razie widział choć *Tel-Aviv*, w którym obaj jego koledzy nawet nie byli.

Książka Mr. *Morton'a* jest najbardziej daleka aktualnym sprawom, najmniej też jest w niej o Palestynie. Trzymając się ściśle swego tematu, autor szybko wyrusza w „Drogę do Damaszku". Książka ta zawiera jednakże liczne momenty które w spokojniejszych czasach zainteresowałyby czytelnika żydowskiego, aczkolwiek często pobudzałyby go do sprzeciwów. Opis Jerozolimy zasługuje na przeczytanie i zawiera dużo frapujących szczegółów.

Także w książce Mr. St. Johna Erwine'a ustępy poświęcone Palestynie, stanowią tylko stosunkowo nie wielką część pracy. Jeśli *Morton* ściśle trzyma się ram, zakreślonych przez temat, to Ervine z wielką żywością nie raz wybiega poza jego granice. Temu też należy zawdzięczyć, że opisując zwykłą podróż z Galilei do Jerozolimy autor nie ogranicza się do tego, co widzi, ale wydaje wyraźnie skrystalizowany sąd o istotnych podłożach zatargu o Palestynę. Pogląd ten jest zdecydowanie *pro-syjonistyczny*. Ważniejszym wszakże wydaje mi się nastawienie psychologiczne autora, z którego pogląd powyższy wypływa. Trudno po prostu znaleźć słowa dla oddania, w jak silnej mierze stanowisko szerokich kół społeczeństwa angielskiego w odniesieniu do sprawy palestyńskiej kształtuje się pod wpływem fałszywego romantyzmu, owego angielskiego ‚sentimetallity". Z tego właśnie podłoża nastrojowego zrodziły się osobistości typu Miss *Gertrudy Bellf i „Lawrence of Arabia"*. To też czymś nowym są w ustach Anglika takie oto słowa: Gdy słucham Anglika, rozmawiającego o „szlachetnych" Arabach a przypominam sobie brudnych, niechlujnych, chciwych łowców „bakszyszu" których wszędzie spotykałem,—opanowuje mnie wściekłość. Jak zauważyłem ludzie ci apoteozują Arabów, ganiąc zarazem Żydów tylko dlatego, że Żyd jest pracowity, przedsiębiorczy, inteligentny i nie pozwala traktować się, jak ulubiony piesek, podczas gdy Arab przypochlebia się Europejczykom, uznając ich poczucie wyższości..." W słowach tych *Ervine* dotyka rzeczywiśdie istotyi stosunku tak licznych Anglików do sprawy palestyńskiej. Nie życzymy sobie bynajmniej, aby w angielskiej opinii publicznej pozostało nie uzasadnione uprzedzenie wobec Arabów, tak jak obecnie w dużym stopniu istnieje ono w stosunku do Żydów, jeśli jednak trzeźwe ustosukowanie się takich Ervine'ów zastąpi entuzjazmowanie się Arabami ze strony naśladowców Lawrencea, wtedy może to w każdym stopniu ułatwić rozwiązanie zagadnienia palestyńskiego.

Mr John *Gibbons* jest jedynym w gronie trzech naszych autorów, który przeżył rozruchy — oczywiście wbrew woli, gdyż, przybywając do Paletysny był raczej nastawiony na pobożną pielgrzymkę. Kiedy jednak został wtrącony w wir wypadków, zdecydował się zbadać istotę sporu w drodze poznania stanowiska obu stron. W niezmiernie sympatyczny sposób stara się pozostać wobec tego zagadnienia „fair". A że autor jest świetnym narratorem, więc również żydowski czytelnik z przyjemnością czyta jego książkę, mimo, że znajdzie w niej pewne — zresztą nieuniknione — błędy. Szczególnie ciekawe są dla nas opisy „terenu strony przeciwnej", jak np. Jaffy w czasie strajku. Ponieważ zaś podróż autora obejmowała także Transjordanię i Syrię, otrzymujemy również interesujący obraz nastrojów które panowały w tych sąsiednich krajach w okresie rozruchów. Najciekawiej jednak czyta się opis *Tel-Avivu*, tego „jedynego w swoim rodzaju" miasta, o którego istnieniu ten znany pisarz angielski nie wiedział wcale przed przybyciem do Palestyny. *Nie słyszał nawet* — jak sam się przyznaje — *o jego nazwie!*

Niemiec z Trzeciej Rzeszy o Żydach w Rumunii

Wolfgang. Höpker: „Rumänien — dieseits und jenseits der Karpathen". Wydawnictwo Knorr et Hirth G.m.b.H. München 1936. Str. 127+1 mapa.

Rumunia należy do krajów, zamieszkałych przez duży odsetek ludności żydowskiej. Statystyka, cytowana w omawianej książce, podaje liczbę tę na 778,094. Żydzi są więc trzecią pod względem liczebności narodowością Rumunii po Rumunach i Węgrach, którzy jednak skoncentrowani są w jednej tylko prowincji: w Siedmiogrodzie). Na czwartym miejscu znajduje się mniejszość niemiecka, licząca 713,564. Mniejszość żydowska w Rumunii stanowi 4,9% ogółu ludności. Rozrzucona jest po wszystkich dzielnicach Rumunii, najsilniej wszakże jest skoncentrowana na Bukowinie i w Besarabii (przeszło 10%). Kształtowanie się politycznych stosunków w Rumunii jest więc sprawą obchodzącą nas także z żydowskiego punktu widzenia.

Książka *Höpkera* zawiera staranne i rzeczowe informacje o specyficznym ukształtowaniu się stosunków w tym państwie do którego przyłączone zostały obszary o bardzo różnorodnym charakterze. Autor zwraca uwagę na zagadnienia natury psychologiczno - kulturalnej, których źródłem jest odmienna przeszłość polityczno-kulturalna poszczególnych części ludności Rumunii. Sprawa zlania się czy też syntezy środowisk kulturalnych, inne zaś ku Wschodowi, jest poważnym zagadnieniem w skali polityki światowej.

W poszczególnych rozdziałach omawia też autor *kwestię żydowską*. Specyficzny charakter sprawy żydowskiej, w odróżnieniu od kwestii innych mniejszości narodowych, Höpker widzi w tym, że Żydzi starają się *wejść w skład narodu państwowego*, podczas gdy inne mniejszości walczą o zachowanie swej kulturalnej odrębności. W stosunku do Żydów nie przejawiają tendencji asymilacji, ale właśnie *dysymlacji*. Ruch mniejszościowy innych grup narodowościowych kroczy wspólnie z Żydami najwyżej w płaszczyźnie dążenia do równouprawnienia, w innych kwestiach drogi się rozchodzą. Autor przyznaje jednak, że także w łonie mniejszości żydowskiej występują i inne dążenia, reprezentowane przede wszystkim przez ortodoksów i syjonistów, dodając, że nie można lekceważyć proporcji sił pomiędzy tymi grupami, zwłaszcza jeżeli chodzi o dawne terytoria rosyjskie. W praktyce jednak dążenie do asymilacji staje się coraz silniejsze. Ponieważ Rumuni są *narodem o największym w Europie przyroście naturalnym*, przejawiają oni niechęć w kierunku wchłaniania w siebie obcych grup narodowościowych.

Inaczej rzecz się ma z *Węgrami*, którzy, posiadając *słaby przyrost ludności*, zadowoleni są właściwie z przyrostu sztucznego w postaci asymilowania się Żydów. Faktem tym oraz okolicznością, że Węgrzy zawsze byli bardzo przychylni asymilacji żydowskiej, tłumaczy autor magyarofilię żydowskiej ludności Transylwanii. Uważa on, że ludność ta została dotknięta gospodarczo przez obcięcie granic węgierskich, na tym też gruncie powstają jej sympatie do Węgier. W tej konstelacji autor znajduje też wytłumaczenie faktu, że na Węgrzech, — mimo silnych dążeń w kierunku czystości rasy — antysemityzm jest zwalczany oficjalnie przez rząd; albowiem Węgrzy oceniają *sympatie Żydów* w obszarach nadgranicznych za poważny aktyw polityczny.

Notujemy to oświetlenie sytuacji, które niewątpliwie spotka się z zaprzeczeniem ze strony Żydów rumuńskich, ciekawe jest jednak że autor przyznaje, iż sympatie Żydów w podobnych terytoriach są poważnym czynnikiem politycznym.

Krótkie studium o Bukowinie, jak wydaje się nam, zawiera w sparwach istotnych słuszną ocenę sytuacji, aczkolwiek o historii zagadnienia narodowościowego w tym kraju dałoby się jeszcze dużo ciekawego opowiedzieć.

J. R.

Kilka uwag o krytyce

Obojętność. Słyszymy z jednej strony o murze obojętności, który wznosi się między poetą a czytelnikami, z drugiej zaś odbieramy dowody żywego zainteresowania dla poezji. W odniesieniu do obu przypadków krytyka zdradza u nas niedociągnięcia i ubóstwo środków. Poniższe uwagi wydadzą się może komuś wynikiem przeceniania pośredniczącej roli krytyki. Nie można jednak wątpić o dużych jej możliwościach, które wyczerpują się jednak przy braku dostatecznego przygotowania. Trudności jest nie mało. Wyostrzonej wrażliwości i kondensacji, które stanowią podstawę liryki, nie dotrzymuje kroku kytyka, operująca sztywnymi wzorcami, pojęciami, które, od wielu lat nie uległy zmianom. Opędzić się zagadnieniu tym czy owym „izmom" lub wszechobejmującym ogólnikiem jest rzeczą nie wystarczającą, a operacje myślowe, jakie można tymi środkami wykonywać, mają nie duży zasięg. Nie mniej stosuje się je do całych zbiorów poezji, czasem nawet do całokształtu twórczości. Uwzględniwszy, że każdy dobry wiersz jest zamkniętym jednorazowym tworem, o własnych wewnętrznych racjach i licznych współzależnościach, powyższa metoda okaże się metodą dotykania samych czubków.

*

Mimikra. Przeciwstawieniem jej jest metoda „upodabniania środków do przedmiotu". Jest to nieco absurdalny wynik t. zw. wczuwania się w utwór, posuniętego aż do pewnego rodzaju uczestniczenia w danej poezji. Łudzi to pozorami dobrego zrozumienia. Mówimy niemal językiem danego poety. Używamy metafory, wywiedzionej z jego własnych metafor. Żyjemy z nim w poufałej wspólnocie idei i form. Wszytsko to odbywa się jednak jednym poważnym kosztem: kosztem samej krytyki, która gubi wszelki badawczy i wartościowy dystans, gubi więc tym samym i siebie. Wyjaśniamy tu metafory metaforą, nastrój nastrojem, dowodząc jedynie, że ulegliśmy wrażeniu, mniej lub więcej trafnemu, że pod jego świeżym podmuchem współ-kojarzymy po lini tej samej lub równoległej. Nie jest to więc stan krytyczny, który musi się posługiwać środkami narzędnymi, by mgliste chwyty wyklarować do stanu myśli, tę zaś następnie wcielić w szerszy ponadosobowy układ idei i form, związanych z okresem, z jego uwarunkowaniem przedmiotowym i jego podstawą społeczną. I tu dochodzimy do innej strony zjawiska.

*

Gwiazdy i teren. Przyzwyczailiśmy się do pojmowania liryki jako dziedziny najskrytszych osobistych wyznań, szczęśliwych podszeptów chwili„ roszczącej sobie prawo do ponadczasowości. Poeci i ich utwory — w myśl tego ujęcia — zapalają się jako w próżni, jak gwiazdy. W poszczególnych, nawet licznych przykładach, znalazłoby się do pewnego potwierdzenie takiego pojmowania liryki. Każdy jednak mocny talent ściera się z współczesnością w sposób mniej lub więcej świadomy i każdym swoim aktem twórczym wrasta w pewną spoistą łączność idei i form wyrazu, realizowanych w najróżniejszych dziedzinach. W tych ramach poszczególny utwór traci swoje cechy bezwzględnej izolacji i zyskuje nawet czasem wartość rozwojowego etapu. Starcia myślowe, które śledzimy na terenie liryki, mogą dla nas być wymowniejsze od innych ich form, ponieważ wykazują się ładunkami uczuciowymi, wspólnymi całym zbiorowościom, a wyostrzonymi w jednostkowej wrażliwości. Tu odczytujemy zasoby uczuciowe tej czy innej postawy ideowej. Tu czasem rozpoznajemy, jak gasnące treści cuci się starymi pochodniami łudząc nas tym samym ich trwałością. Tu rozpoznajemy, z jakim uposażeniem wewnętrznym dochodzi do głosu postawa nowa. Wszystko to jednak wymaga od krytyka dużej czujności ideologicznej wobec głównych ośrodków sił danego okresu. . . .

*

„Rozpalona do białości". We Francji nazwał ktoś natchnienie „inteligencją rozpaloną do białości". Określenie to znosi tę powszechną u nas rozbieżność między procesem myślowym a t. zw. inspiracją. Kosztuje to nas nie mało, a zyskujemy mało pożyteczną transcedentną godność poezji. W samym źródle humanistycznej kultury wiązano jednak obie te rzeczy, przypisując poezji w stosunku do procesu myślowego jedynie cechy większego nasilenia, krótszych spięć i właściwśoci sugestywnych, zdobytych współdziałaniem środków muzycznych, obrazowych i składaniowych.

Przygotowanie krytyka musiałoby wobec tej koncepcji jedności iść w kierunku zarówno dużej wnikliwości myślowej, jak i kultury sensualnej. Ten ostatni moment posiada znaczenie bardzo duże. Wyostrzonana wrażliwość zmysłowa wyręcza nam często najsubtelniejsze związki myślowe, podsuwa nam najśmielsze skróty i uprawdopodobania bardzo odległe skojarzenia. Ale działa tak z poza sfery myśli, lecz jako pewnego rodzaju nowa kategoria znakowania myślowego, o dużym równoczesnym pokryciu uczuć.

W tym znaczeniu można też zrozumieć zwrot Paula Valery'ego w wierszu o poezji: „O matko moja, Inteligencjo".

ITER.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

2)

Ceion uważał za właściwe, oświetlić również drugą stronę zagadnienia. „Musimy po prostu, — wyjaśniał, — usunąć ze świata tę naszą rozbieżność. Pomyśl tylko sobie, mój Varronie, jak przykre by to było, gdybym musiał kiedyś zastosować w stosunku do ciebie prawnych środków. „Tak, mój Ceionie". — odparł Varro i ukrył pod maską uprzejmości drwinę z tej pustej pogróżki, — „byłoby to bardzo przykre dla nas obu. Gdyż, zastanowiwszy się nad wagą, jaką słusznie czy nie słusznie, przywiązują mezopotamskie państwa do mej skromnej osoby, te kroki nie dałyby się w praktyce przeprowadzić bez kosztownej ekspedycji wojskowej. I cóżby dało się w najlepszym wypadku na tym wygrać? Prestige. Sądząc jednak z mojej znajomości panów na Palatynie, nie przypuszczam, że byliby szczególnie skłonni wydawać pieniądze dla prestige'u. Varro wstał, podszedł całkiem blisko ku gubernatorowi i ufnie położył mu dłoń na ramieniu. „A może mam słowa twe uważać za ultimatum?" — spytał z tak prowokującym uśmiechem, że Ceion musiał wyczuć, co Varro przy tym myśli, a mianowicie: „Straszak". Albowiem Varro sądził, że po tak intensywnym zdobywaniu go sobie, przez Ceiona może w nim widzieć już nie przedstawiciela Rzymu i pewnej idei państwowej, lecz tylko Straszaka, szkolnego kolegę.

Okaże się jednak, że był to błąd i że na to nie mógł sobie Varro pozwolić. Na razie jednak gubernator Ceion zadowolił się niedostrzegalnym prawie cofnięciem ramienia przed tak daleko posuniętą poufałością i odparł uprzejmie, że słowa jego winny być jedynie rozumiane, jako przyjacielska wskazówka, bynajmniej nie jak ultimatum. Po czym po wymienieniu jeszcze paru uprzejmych, nie obowiązujących do niczego zdań, Varro mógł się wreszcie pożegnać.

Wyszedł z gmachu zarządu lekkim i pewnym krokiem, odesłał lektykę i eskortę, udał się pieszo do domu, idąc pięknymi ulicami Antiochii. W ostatnich latach zdawał sobie czasami sprawę z tego, że nie jest już pierwszej młodości, teraz jednak czuł się chłopięco świeży. Jego wrogowie, ci Flawiusze, wyświadczyli mu wielką przysługę, zasyłając mu na kark tego Ceiona. Cieszył się, że ten trzeźwy, wojskowy, patriotycznie ciasny Rzym dzisiejszy, tak bardzo przezeń znienawidziony, stanął przeciw niego właśnie pod postacią Ceiona. „To będzie przyjemna walka", — pomyślał. — „Dobry, stary Straszak". I czuł się już teraz zwycięzcą.

MIASTO EDESSA

Białe i strojne leżało na swych wzgórzach miasto Edessa, stolica królestwa o tej samej nazwie, najbardziej północnego z pośród wielkich osiedli Mezopotamii. Gdy się na nie patrzało z daleka, robiło całkowicie greckie wrażenie, dzięki swym świątyniom i kolumnowym galeriom z cyrkiem, teatrami, łaźniami i szkołami sportu. Wewnątrz jednak murów Edessy dostrzegało się nieliczne tylko greckie napisy i rzadko słyszało się greckie słowa. Mieszkańcy jej należeli raczej do skomplikowanej mieszaniny Syryjczyków, Babilończyków, Armeńczyków, Żydów, Persów, Arabów, i grecko-rzymskie były tylko domy.

Na południe od Edessy rozciągały się stepy. Samo miasto jednak, obfitujące w wodę żyzne leżało nad brzegiem rzeki Skirtos „Skoczka", wiatry zaś z gór, ograniczających ten kraj od Armenii, czyniły jej powietrze czyste i świeże.

Edessa leżała na skrzyżowaniu wielu dróg. Bogate to było miasto. Handel korzeniami i pachnidłami Arabii i Indyj przechodził przez nie, jak również pokaźna część handlu perłami i kosztownymi jedwabnymi materiałami. Słynęło szeroko pięknością swych budowli. Z daleka przybywali cudzoziemcy, aby odwiedzić prastarą świątynię Tarate, kryjącą poczerniały brązowy posąg bogini i jej dziwaczne priapiczne symbole, świątynię Mitry, uniwersytet, przede wszystkim zaś labirynt, olbrzymią grotę skalną na lewym brzegu Skirtos o setkach wąskich, zawiłych, nieskończenie rozgałęziających się przejść, ganków, komór i schodów.

Założenie miasta Edessy ginęło w pyle wieków. Pierwotnie zwało się ono Osroëne, Lwie miasto. Hetyci, Asyryjczycy, Babilińczycy, Armeńczycy i Macedończycy panowali tu ongiś. Ostatnio przed trzystu laty, wtargnęli doń Arabowie i pozostali w nim dotychczas. Dzisiaj, jako jedno z małych państw buforowych między Rzymem a posiadłościami Partów, Edessa stale była zagrożona. Miasto jednak ciągnęło również wielkie korzyści ze swej neutralności, sprzedając ją w ciągu ustawicznych walk między obu wielkimi państwami, zawsze z zyskiem raz temu, raz drugiemu.

Arabscy książęta Edessy, chociaż w głębi serc pozostali zawsze Arabami, popierali w miarę sił aramejską kulturę, uchodzącą za najwyższą. Uniwersytet Edessy był bezsprzecznie najlepszy w Międzyrzeczu i mógł rywalizować nawet z wyższą szkołą Antiochii.

Miasto kryło wiele świętości i wielu bogów było w nim czczonych. Na czele ich stała bogini Tarate, zwana również „Bogini Syria"; jej poświęcony były miejski staw źródlany i jego purpurowe ryby. Obok niej czczony był bóg byka i siekiery Labyr, bóg labiryntu, i inne prastare bóstwa Assurów, Lwi bóg na wyżynie, zarówno jak wielki Baal i Nebu. A dalej perski bóg Mitra, arabscy bogowie gwiazd Aumu, Aziz i Dusaris, jak i greckie i rzymskie bóstwa. Jehowa, bóg Żydów, miał również swych czcicieli w Edessie, a nawet syn Jego, Chrystus, zwany Pomazańcem, znalazł już tu swych wyznawców.

Liczne dziesiątki tysięcy ludzi mieszkały w tym pięknym mieście, ludzi białych i brunatnych: arabscy książęta i ich doradcy, greccy i syryjscy kupcy i obywatele ziemscy, perscy astrologowie, żydowscy rzemieślnicy i uczeni, poza tym oficerowie i żołnierze rzymskiego garnizonu; prawie zawsze spotykało się w mieście wędrowne karawany Beduinów, a wśród tych ludów, uwijała się różnorodna masa niewolników. Wszyscy ci biali, czarni i brunatni z ich wołami, wielbłądami, owcami, kozami, i psami, żyli, oddychli, roili się, mówili licznymi językami, czcili rozlicznymi sposobami rozliczne bóstwa, jedli, pili, spali, załatwiali interesy, żenili się, waśnili i godzili; żaden istnieć nie mógł bez pozostałych, każdy w gruncie rzeczy rad był z istnienia innych, wszyscy zaś dumni byli ze swego miasta Edessy, najmilszej, najpiękniejszej na świecie.

Panem Edesy był król Mallukh, piąty tego imienia, kanclerzem jego Szarbil, arcykapłan bogini Tarate, dowódcą rzymskiego garnizonu pułkownik Fronto. Istotnym zaś władcą Edessy był senator Varro.

3.

GARNCARZ TERENCJUSZ.

Między wieloma innymi przedsiębiorstwami, jakie Varro założył w Edessie, istniała również fabryka ceramiczna, którą senator urządził dla swego „klienta", garncarza Terencjusza przy ulicy Czerwonej. Że ów Terencjusz nazywał siebie jeszcze „klientem", Varrona pochodziło z czystej grzeczności, gdyż oddawna był już samodzielnym człowiekiem, nie potrzebującym niczyjej opieki. Tak, doszedł nawet do stanowiska mistrza cechu garncarskiego Edessy.

Fabryka jego bynajmniej nie należała do największych w mieście. Terencjusz zaś nie odznaczał się szczególną fachowością. Pracą w warsztatach kierowała raczej jego żona, stronę zaś handlową załatwiał cylicyjski niewolnik, imieniem Knops. Terencjusza bowiem rzadko widywało się w fabryce. Często natomiast spotkać go można było na ulicy lub w szynkowni. Jako mistrz cechu garncarskiego miał sporo spraw do załatwienia i z wieloma ludźmi musiał utrzymywać stosunki. To musiał w interesach swego rzemiosła występować w magistracie, to stawać przed radcami króla Mallukha, to znów reprezentował cech podczas uroczystości miejskiej lub też organizował cechowe święto.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, o rudawo blond włosach, różowawej, zwiędłej skórze, szerokiej twarzy, wydatnej dolnej wardze, krótkowzrocznych szarych oczach, tęgawy, ogółem jednak postawny i o bardzo rzymskim wyglądzie. Cech garncarzy dumny był ze swego mistrza. Nie tylko dlatego, że był urodzonym rzymianinem, lecz głównie z tej racji, że wyglądał wytwornie i godnie i, że jako mąż, reprezentujący liczne duchowe interesy, był dobrym mówcą. Po łacinie mówił z ładnym, Rzymowi właściwym akcentem, władał również greckim i aramejskim, chociaż wymowa sylaby th, grającej w obu językach tak wielką rolę, sprawiała mu pewne trudności. Niektórzy uważali jednak, że zbyt chętnie słucha swych własnych mów, prawdą zaś było, że niełatwo było powstrzymać raz rozpętany potok jego wymowy. Mimo wszystko Terencjusz robił wrażenie, to nie podlegało kwestii. Umiał nadawać sobie ton i swobodnie obracać się w towarzystwie wysokich figur; co więcej, twarz jego umiała przybrać wyraz pychy i niezadowolenia, onieśmielający rozmówców. Znał się również na reprezentacji. Jego to było zasługą, że podczas uroczystości rzemieślniczych, przede wszystkim zaś podczas wielkich uroczystości marcowych, cech garcarzy odcinał się od reszty szczególnie dodatnio. Poza tym trzeba mu było przyznać, że był wykształconym człowiekiem. Umiał na pamięć długie ustępy z greckich i rzymskich klasyków, umiał siać cytatami, zajmował się teatrem i przedstawienie coroczne świątecznego widowiska garncarzy, którego organizacja należała do niego, przyciągało wielu ludzi. Wszystko, co miało w Edessie jakiś związek z rzemiosłem garncarskim, było dumne z tego reprezentacyjnego przedstawiciela. Nawet uczniowie, chociaż w warsztatach Terencjusza dostawali srogie baty, woleli tam raczej pracować, niż u łagodniejszych panów.

Wpływ Terencjusza podkreślało jeszcze to, że wokół niego i jego życia snuło się coś niejasnego, jakaś tajemnica. Do Edessy przybył przed jedenastu laty, obdarty, stroskany, ze zmierzwioną czerwonawo blond brodą. Wówczas to możnaby było śmiało przypuszczać, że ,jak utrzymuje o rzemieślnikach przysłowie greckie, wyciera nos ręką. Nikt nie dopatrzyłby się w owym Terencjuszu późniejszego mistrza cechowego. Ludzie, znający stosunki rzymskie, opowiadali, że warsztaty Terencjusza cieszyły się w Rzymie dobrą opinią, nawet dwór cesarski czynił u niego zakupy, takie krążyły pogłoski, że Terencjusz pozostawał w osobistych stosunkach z dworem Nerona.

Sam Terencjusz i jego ludzie, jego żona, Caja, i niewolnik Knops zachowywali milczenie w sprawie jego rzymskiej przeszłości. Co najwyżej, gdy Terencjusz znajdował się w podniosłym nastroju, po jakimś wyjątkowo udatnym przemówieniu, lub też po pomyślnym przebiegu składanej przez cech ofiary, wzmiankował półsłówkami, jak skromne wydaje mu się to powodzenie, w porównaniu z owymi czasami, kiedy to krążył swobodnie po cesarskiej rezydencji, — więcej jednak niż taką niewyraźną wzmiankę nie można było zeń wydobyć.

Oto zaś, co garncarz Terencjusz, był garncarzem Terencjuszem w Rzymie.

Ojciec jego był jeszcze niewolnikiem w rodzinie senatora Varrona. Stary Varro wyzwolił obrotnego człowieka i założył mu warsztat garncarski. Syn jego Terencjusz znajdował mało upodobania w rzemiośle garncarskim, interesowały go rzeczy wyższe: teatr i polityka. Kiedy mówił o sprawach publicznych lub o sztuce, przyjaciele jego sławili jego rozum i głębokie spojrzenie, sądząc, że szkoda go na garncarza. Za życia więc ojca Terencjusz interesował się słabo warsztatem, po jego zaś śmierci zaniechał go zupełnie. Warsztat też wkrótce upadł. Z chwilą, gdy jego majątek ulotnił się, przyjaciele stracili dawny entuzjam i nikt odtąd nie chciał oddawać mu honorów lub pieniędzy za jego zręczne mowy i długie cytaty. Nic zatem dziwnego, że Terencjusz w dwudziestym roku życia syty, barczysty o niezbyt ciekawym wyglądzie, teraz po trzydziestce miał gąbczastą, chmurną, prawie uduchowioną, dzięki goryczy doznanych zawodów twarz.

I wówczas zdarzyło się coś niezwykłego. Twarz cesarza Nerona przez czas dłuższy wysuwała się chuda z okoła rudawej brody i ściągała stopniowo jednak, gdy cesarz tył i gdy w dwudziestym ósmym roku życia kazał sobie zgolić brodę, jego naga twarz zdała się być całkiem zmieniona: gąbczasta, zblazowana i prawie zawsze markotna. Pewnego dnia, kiedy Terencjusz składał senatorowi Varronowi swe poranne pozdrowienie, jako jego klient, oszołomiony Varro zdał sobie nagle sprawę z tego, że skołatany garncarz stał się nagle niesamowicie podobny do zapłynięgtego tłuszczem, prawie zawsze źle usposobionego cesarza. Zupełnie tak samo wysuwał naprzód grubą dolną wargę. Senatorowi Varronowi przyszła pewna myśl do głowy. Dla pełnego wymagań Nerona trzeba było ciągle wymyślać coraz to nowe rozrywki: postanowił więc zaprowadzić garncarza na Palatyn, aby przedstawić go cesarzowi.

Przedstawienie to było dla Terencjusza rzeczą niebezpieczną. Jeśliby cesarz był źle usposobiony, wówczas gorzko opłacić by musiał jego sobotwór za ten dziwaczny figiel natury.

Jednakże eksperyment powiódł się. Wprawdzie Neron nie życzył sobie, aby ktokolwiek dowiedział się o tym, że cesarskie oblicze dwa razy na świecie istnieje i zarządził, aby Terencjusz zmienił uczesanie i niewidzany przez nikogo pozostał na Palatynie tak długo, póki mu nie odrośnie broda, poza tym jednak bawiło go to dziwne podobieństwo. Tak, nie zadowolił się tym jednym tylko przedstawieniem. Zaprosił garncarza po raz drugi, potem zaś często i nie jednokrotnie na Palatyn. Tam ponownie ogolono brodę, fryzjer Nerona uczesał go właściwie, cesarz zaś bawił się tym, jak Terencjusz naśladuje jego chód, jego ruchy i ton mowy. Poprawiał go, jeśli uważał, że nie wszystko idzie, jak należy. Częstokroć kazał sprowadzać również swą ulubioną małpę, aby i ona brała udział w zabawie, kiedy zaś garncarz i małpa naśladowali go, sala rozbrzmiewała głośnym śmiechem cesarza.

Te spotkania z Neronem wywierały na Terencjuszu głębokie wrażenie. Często teraz uśmiechał się uszczęśliwiony. Wiedział zawsze, że złośliwy kaprys losu, nie pozwalający mu mimo zdolności wspiąć się wyżej, minąć musi. Często myślał teraz o śnie, jaki przyśnił się jego matce, kiedy go jeszcze nosiła pod sercem. We śnie tym wspinała się na wysoką górę. Ciężka to była droga, czuła zbliżające się bóle i chciała się położyć. Jakiś głos jednak rozkazał: „Idź wyżej!" Usłuchała, ale ponownie osłabła i chciała spocząć, lecz znów rozległ się głos i dopiero w bezpośrednim pobliżu szczytu wolno jej było go urodzić. Wróżbita wyjaśnił sen w ten sposób, że dziecko, które nosi, zajdzie wysoko. Dla tego też nadano mu pretensjonalne imię Maksimus.

Na Palatynie zapowiedziano mu, że o swych spotkaniach z cesarzem zachować ma milczenie pod karą śmierci. Mimo to rzeczą prawdopodobną było, że niewolnik Knops czegoś się domyśla, a nawet wie: nie tylko bowiem musiał zwrócić uwagę na tajemnice, wielotygodniowe znikanie swego pana, ale również na zamówienia, które nagle Palatyn dawać jął małej, podupadłej fabryce. Zachowanie tajemnicy przed rezolutną, inteligentną żoną Cają było dla Terencjusza rzeczą poprostu niemożliwą. Jej też zwierzył się pod wpływem nalegań z tego, co działo się z nim na Palatynie. Ale i z nią nawet rzadko rozmawiał o tym, niechętnie, tajemniczo i nigdy całkiem szczerze. Nigdy nie przyznał się przed nią, a rzadko również przed sobą samym, że rad był z owych wezwań do rezydencji cesarza, przytakiwał jej raczej mrocznym milczeniem, kiedy gorzko wyrzekała na obrażenie godności ludzkiej, jakiego dopuszcza się ta hołota wysoko postawiona. W istocie jednak ta zabawa na Palatynie stawała się stopniowo potrzebą. Uszczęśliwiało go podobieństwo do cesarza i w głębi duszy coraz bardziej zrastał się ze swoją rolą.

Aż wreszcie nastąpił nagły zwrot. Tego niepokoju pełnego dnia, podczas buntu gwardii, cesarz zapadł w niebezpieczne osłupienie, to też zausznicy jego, chcąc go rozchmurzyć, sprowadzili na Palatyn garncarza Terencjusza. Fryzjer ogolił go i przebrał, kiedy cesarz postanowił nagle opuścić pałac i przenieść się do serwiliskiego parku. Nkt nie zatroszczył się o garncarza Terencjusza, czekającego w pokoju służbowym — zapomniano o nim w opustoszałym pałacu. Późną nocą, ponieważ nikt nie myślał o nim, wystraszony Terencjusz wymknął się z rezydencji, aby prześlizgnąć się do domu. Ulice były puste, nikt nie ważył się na opuszczenie domu z obawy przed przykrym wypadkiem. Nagle coś zabrzęczało w pobliżu. Zbrojni pochwycili go — wojsko senatu, patrol, szukający zbiegłego Nerona. Załośliwie zapewniał, że nie jest bynajmniej cesarzem, tylkogarncarzem Terencjuszem. Żołnierze ine chcieli mu wierzyć, przejęci wstrętem na widok tchórzliwego zachowania się człowieka, któremu tak długo okazywali cześć boską, zabrali się do niego i omal, że go nie zabili.

Z wielkim trudem udało mu się skłonić ich do odprowadzenia go do domu. Tam Caja zidentyfikowała go drżącego, półżywego.

Dla niej te audiencje na Palatynie były zawsze niesamowite. Teraz, obawiając się kroków, jakie senat przedsięwziąć może w stosunku do ulubieńców Nerona, skłoniła Terencjusza, wystraszonego przejściami aż do szpiku kości do ucieczki. O szarym brzasku przekradli się do domu Varrona, ich dobroczyńcy. Senator uciekł już w nocy z miasta, na Wschód, jak im powiedziano Pospieszyli za nim i wraz z nim przeszli wschodnią granicę.

Teraz wypadki te leżały daleko poza nimi i żyło się bezpiecznie, w pewnym dobrobycie w tym białym i kolorowym mieście Edessie. Pani Caja dumna była z tego, że wówczas tak energicznie wzięła się do swego Terencjusza i wywiodła go z niebezpieczeństw pełnego Rzymu. Sama, oczywiście, nie czuła się tutaj dobrze wśród barbarzyńców, Burnusy i brudno białe szaty tego małpiego i w poważnej części, ciemno brunatnego ludu bardzo jej się nie podobały, jedzenie nie smakowało, uważała Syryjczyków i Greków za oszustów, Arabowie i Żydzi byli według niej zabobonni i cuchnący, Persowie zaś — szaleni. Nigdy nie wyuczy się bełkotu tych barbarzyńców, seplenienia Syryjczyków, gardłowego gruchania Arabów, nigdy nie przyzwyczai się do całego tego barbarzyńskiego świata, do kolorowych ludzi, świętych ryb, ołtarza Tarate i jej nieprzyzwoitych symboli, ani do małp i wielbłądów, nigdy wreszcie do stepu, niesamowicie leżącego na południu.

(C. d. n.)

Dr. Stefan Rumelt

Wymowne i wygodne milczenie

Wanda Wasilewska w wywiadzie, udzielonym „Momentowi" zganiła tych licznych pisarzy polskich, którzy nie zdobyli się na żadne słowo potępienia burd antysemickich na uniwersytetach, i zaproponowała różne sposoby reagowania na karygodną obojętność literatów polskich.

Wątpliwe, czy szlachetna inicjatywa śmiałej pisarki mogłaby odnieść pożądany efekt, gdyż to aktualne stanowisko pisarzy polskich nie jest sporadyczne, lecz tkwi głębiej w samej postawie większości intelektualistów współczesnych, wobec zjawisk życia zbiorowego.

Czy mają prawo milczeć pisarze? Czy mają obowiązek zabierać głos i deklamować swoje zdanie ci, którzy rządzą duszami swego pokolenia i wstrząsają jego sumieniami?

Odpowiedź na tę wiecznie aktualną kwestię nie jest wcale łatwa, gdyż ani negatywne ani pozytywne stanowisko nie wyczerpuje w pełni sedna sprawy.

NAKAZ REŻYMU A NAKAZ SUMIENIA.

Nikt nie ma ochoty kwestionować prawa literatów i artystów do pełnej niezależności, gdyż wolność w najszerszym tego słowa znaczeniu, jest pierwszym postulatem prawdziwej twórczości. W imię tej niezawisłości konieczną jest rzeczą zostawić artystom i pisarzom pełną swobodę w kształtowaniu się ich poglądów i dla tego druga ostateczność — wciąganie twórczości w służbę społeczną w formie podporządkowywania wiecznych ideałów pisarskich i artystycznych doraźnym celom państwowym — jest grubym nieporozumieniem, zabijającym wolną wolę twórcy.

Nikt nie może pisarzom ,izolującym się od rzeczywistości społecznej, przeciwstawiać zwyczajów, panujących dzisiaj we Włoszech, Niemczech, jak też — trzeba to stanowczo powiedzieć — w Rosji, bo ani gorliwość i służalczość pisarzy w państwach totalnych, ani też ich ofiarna służba dla reżymu, nie może być pociągającym przykładem dla wolnych artystów, którym wszelkie wędzidła podcinają skrzydła i paraliżują swobodną ekspresję wyobraźni poetyckiej.

Pisanie na zamówienia, entuzjam na rozkaz, oburzanie się wbrew własnym przekonaniom — takie warunki uniemożliwiają rozwój niekrępowanej żadnymi więzami twórczości, której najistotniejszym wyrazem jest prometeizm.

W imię tego właśnie buntu, charakterystycznego dla każdego rzetelnego artysty, buntu przeciw ponurej i złej rzeczywistości, pisarze, którzy swą iskrę Bożą, swe żywiołowe natchnienie mają wyzyskać dla formowania lepszego, doskonalszego jutra, pozbawionego ciężaru trosk dni dzisiejszych, — muszą spełnić swe powołanie wobec społeczeństwa. I to jest odpowiedź na pytanie, czy pisarze mają obowiązek zabierać głos w takich żywotnych dla przyszłości kultury sprawach, jak burdy uniwersyteckie. Oburzać się na zamówienie — nigdy!

Protestować z nakazu sumienia — zawsze!

Sami, dobrowolnie, z własnej inicjatywy, z potrzeby swego sumienia, z nakazu kategorycznego imperatywu, będącego motorem ich tworzenia, powinni spontanicznie — jeśli chcą zasłużyć na miano prawdziwych artystów, proroków, duchowych przewodników — zabierać głos i zajmować stanowisko wobec każdego zjawiska, które w swej praktyce życiowej koliduje z ideałami, zawsze i wszędzie głoszonymi przez twórców. W każdej epoce i w każdym kraju artyści i pisarze zajmują pierwsze szranki w walce z barbarzyństwem, ciemnotą, zacofaniem i nietolerancją. Dzieła tych twórców są zawsze ogniwem buntu, potępienia i walki przeciw krępowaniu wolności człowieka we wszystkich jej objawach. To już nie zamówienie, to nie twórczość na rozkaz, to nie terror czy cenzura, strach czy serwilizm, lecz właśnie ów kategoryczny imperatyw, samorzutna potrzeba wewnętrzna sumienia narzuca pisarzom obowiązek wpływania na formę i treść przeżywanej rzeczywistości. Innym nakazom artysta nie może być posłuszny. Ignorowanie czy lekceważenie tego głosu sumienia jest zdradą istotnych ideałów artysty.

ZDRADA KLERKÓW.

Intelektualiści i uczeni, pisarze i artyści w czasie wojny światowej i w dobie powojennej przeżyli ciężką próbę i nikt już nie wątpię dzisiaj, iż nie sprostali swym zadaniom. Co raz więcej mówi się o zdradzie klerków, o serwilizmie uczonych, o zaprzedaniu się ich w niewolę politykom i generałom. Ci wszyscy profesorowie i uczeni po roku 1914. nie stanęli na wysokości swego zadania, choć wdzięczne mieli pole do rozwinięcia swych talentów w epoce technokracji, kiedy wysuwa się postulat naukowej organizacji życia zbiorowego pod przewodem myślicieli i uczonych. Nie umieli utrzymać swej niezależności duchowej i moralnej i albo poszli w służbę reżymu albo egoistycznie czy oportunistycznie zasklepiali się wbrew swemu istotnemu powołaniu we własnych zainteresowaniach, które w tym stanie rzeczy często ograniczyły się — u pięknoduchów i poetów — do bezpłodnych estetyzowań i aspołecznych teorii dla sztuki.

SYMBIOZA SZTUKI Z ŻYCIEM.

Czy zawsze tak było? Nie, nie zawsze. Oświecenie w. XVIII udowodniło, że można wiernie służyć Muzom, że można wysoko nieść sztandar ideałów poetyckich, a równocześnie tkwić korzeniami w rzeczywistości, otaczającej nas, i być jej najpełniejszym wyrazicielem. Sztuka jest samoistna, ale nie aspołeczna. Życie oddziaływa zasadniczo na sztukę, ale i vice versa, sztuka wpływa decydująco na kształtowanie się życia i na tym polega jej samodzielność. Symbioza sztuki z życiem. A więc ani sztuka dla sztuki czyli odwrócenie się od rzeczywistości, ani wieczne ideały sztuki nie mogą być podporządkowane przejściowym interesom państwa. Jedynie samodzielne i niezawisłe stanowisko artysty wobec życia.

Dla tego Encyklopedyści francuscy XVIII w. słusznie uważani są za duchowych rodziców rewolucji francuskiej i deklaracji praw człowieka, dla tego Beaumarchais'go Figaro jest fikcją artystyczną, która z jednej strony wyraziła doskonale ducha epoki, a z drugiej wpłynęła na realizację tych postulatów epoki przez hasła wysuwane później przez rewolucję. Aby uniknąć nieporozumienia i demagogicznych zarzutów, że sugerujemy tu pogląd, jakoby rzekomo pisarze i artyści mieli być zawsze awangardą każdej rewolucji, warto jeszcze przytoczyć przykład działalności pisarza z innej epoki — realizmu, który wysuwał hasła ewolucji. Mianowicie wiadomo, że Dickens swymi dziełami przyspieszył obalenie przestarzałej w Anglii ustawy o więzieniu dłużników.

Chodzi więc o to, że antycypacja życia w imię postępu ludzkości jest konieczną funkcją artysty.

W Polsce cała twórczość Mickiewicza i Słowackiego wspaniale uwypukla i znakomicie potwierdza tezę o oddziaływaniu sztuki na życie.

ZAPRZEPASZCZONY TESTAMENT ŻEROMSKIEGO.

Osobne miejsce należy się Wyspiańskiemu i Żeromskiemu, którzy w swej niezawisłości artystycznej umieli kierować narodem i poprowadzić go po linii, potwierdzonej przez wypadki po roku 1914. Żeromski tak potężnie wstrząsnął sumieniem narodowym, iż do dnia dzisiejszego fascynuje potęgą swego ducha rzeczywistość polską. Do śmierci potrafił, jako wielki i niezależny artysta, reagować na każde ważniejsze zdarzenie z taką sugestią, iż autorytet jego skutecznie można było przeciwstawić niefortunnym zamierzeniom niepowołanych reformatów życia zbiorowego.

Żeromskiego zabrakło i brak jego dotkliwie odczuwa dziś cała polska kultura współczesna. Gdyby dziś Żeromski żył, na pewno by nie milczał.

Dla czego pisarze polscy dzisiaj z złowrogą obojętnością przechodzą obok wstrząsających grozą i barbarzyństwem wypadków z takim milczeniem? Dla czego pokolenie urodzone w niewoli, okute w powiciu, ledwo zachłysnęło się wolnością, a już ją zdradziło. Dla czego ci, którzy tyle zawdzięczają Żeromskiemu, swemu mistrzowi i nauczycielowi, nie pamiętają o testamencie wielkiego chorążego postępu i niewdzięcznie oraz lekkomyślnie zasklepiają się w swoim życiu ułatwionym, zamkniętym na cztery spusty wobec odpowiedzialnego powołania pisarskiego. Daremnie oczekujemy odpowiedzi na te pytania.

NEOPSEUDOKLASYCYZM.

Taką oderwaną od życia postawę można zestawić nie z świadomymi swego powołania pisarzami oświecenia, romantyzmu czy pozytywizmu, lecz z niektórymi autorami w. XVI, a przede wszystkim XVII. Oni to, oddaleni od życia oderwani od społeczeństwa, nie wyrażali poglądów swej epoki, lecz oddali się w niewolę mecenasów, królów, książąt i magnatów, którzy utrzymywali na swych dworach poetów, myślicieli i artystów i zamawiali u nich panegiryki, ody, pamflety i różne sztuczne wytwory dworskiej epoki barokowej. Poezja tych dworaków, pochlebców i oszczerców, pisana na zamówienie, hojnie opłacana, podtrzymywana orderami, zaszczytami, synekurami, posadkami, ale i strachem czy terrorem, — nigdy nie była wyrazem nastroju epoki i dążności społecznych, lecz oddawała atmosferę dworskiego życia. Stąd dziś te ukryte westchnienia do neopseudoklasycyzmu!

Pisarze nadworni, dworacy, oportuniści schlebiający każdemu reżymowi i za to grzejący się u żłobka — to zjawisko dziś niestety w wielu krajach nagminnie panoszące się — jest zrozumiałe w państwach totalnych i na wpół totalnych.

I dla tego milczenie pisarzy polskich jest bardzo wymowne i wbrew przysłowiu nie możemy go nazwać złotem. Nie chcemy wierzyć i nigdy nie uwierzymy, że to milczenie oznacza, iż qui tacet, consentire videtur.

Słowa te nie odnoszą się—rzecz jasna— do tych pisarzy demokratycznych, którzy mieli odwagę i potrzebę otwartego potępienia wybryków antysemickich na uniwersytetach. Śmiałe wypowiedzi tych literatów, a przede wszystkim niezapomniane słowa czołowej pisarki Marii Dąbrowskiej, zajmującej chyba najwybitniejsze stanowisko w współczesnej literaturze polskiej, napawają otuchą i wiarą, mimo co raz groźniejszych horoskopów. Ale nie z ust tych pisarzy słów potępienia oczekujemy, bo opinia publiczna potrafiła ocenić ich liczne wystąpienia. Rzecz zrozumiała, że nie interesuje nas stanowisko tych na szczęście nielicznych wstecznych pisarzy, którzy — zapatrzeni w średniowiecze — chcą wstrzymać postęp ludzkości i propagują kult pałki. Chwała Bogu, ci mierni literaci nie odgrywają żadnej roli w współczesnym piśmiennictwie polskim.

Boli nas natomiast milczenie tych czołowych koryfeuszy literatury polskiej, którzy z tytułu swych zasług i wielkiej twórczości, hołdującej wolności i humanitaryzmowi, powinni właśnie teraz zabrać głos.

DLA CZEGO MILCZĄ?

Dla czego milczą? Czy istotnie dla tego, że zajmują dobrze płatne stanowiska w pismach, wydawnictwach, urzędach, — mają skrępowaną swobodę myśli i słowa? Czy im nie wolno mówić, czy nie chcą? Trudno uwierzyć, że pisarze o śmiałym locie i wielkich ambicjach, wolą zrezygnować ze swojego wielkiego powołania dla przyziemnej kariery urzędniczej, godnej przeciętnego biurokraty.

Dla czego milczy ten, który miał odwagę objąć puściznę ideową po Żeromskim i nie legitymuje się przed społeczeństwem ze swej misji. Dla czego milczy J. Kaden Bandrowski — bo o nim mówimy — autor pięknego opowiadania o Żydzie Sontagu, które nabiera dziś aktualnej wartości na tle burd uniwersyteckich.

Dotychczasowa chlubna działalność i sławna twórczość takich pisarzy, jak Sieroszewski, Staff, Goetel, Irzykowski, Boy, Iłłakowiczówna, Wierzyński, Iwaszkiewicz i wielu wielu innych pozwala nam snuć przypuszczenie, że bezwzględnie potępiają terror oenerowski. Nie wierzymy, żeby Ci pisarze swym milczeniem sankcjonowali kult pałki.

Więc czym wyjaśnić ich milczenie? Parandowski próbował wyjaśnić swoje stanowisko niechęcią podpisywania ciągłych protestów i angażowania się w mniej ważnych i nie zawsze znanych pisarzom sprawach politycznych. Ale to, co się dzieje na uniwersytetach, nie jest ani sprawą błahą, ani daleką, lecz bezpośrednio interesującą każdego, komu troska o przyszłość kultury polskiej leży na sercu.

A zresztą o wiele ważniejszym narzędziem walki z obskurantyzmem i barbarzyństwem jest właśnie nie bezpośrednie wystąpienie, lecz pośrednie wychowywanie nowego człowieka, formowanie poglądów, wpajanie szlachetnych uczuć, kształtowanie ideologii na kartach powieści, dramatów, poematów. Narzędzie to nie działa doraźnie, jak bezpośrednie wystąpienie, lecz efekt jest skuteczniejszy i radykalniejszy, bo dzieło literackie wychowuje trwale i systematycznie całe pokolenie.

A którzy z współczesnych pisarzy polskich ma prawo do szczytnego miana nauczyciela swego pokolenia, wychowawcy swego narodu? Jakie dzieło ostatnich lat starało się wypełnić te luki? Jaki utwór można dać młodzieży jako odtrutkę przeciw truciźnie ulotek akademickich i jadom gadzinowej prasy? Kto jest chorążym postępu, wolności i humanitaryzmu? Kto zatroszczył się o podniesienie do wyżyn ideału szarganej godności szarego człowieka?

„POTRZEBA NA TO MĘSTWA..."

Co prawda, tu i ówdzie szlachetniejsze jednostki przerywają to ponure milczenie, lecz głosy te niestety często notuje się na marginesie literatury oficjalnej, tej z P. A. L. i tej wyróżnionej nagrodami, a więc literatury, która nadaje ton i reprezentuje twórczość wobec całego społeczeństwa. Nie czujemy w tej literaturze ogólnego powiewu świeżych prądów, silnego ducha i zdecydowanej woli. Większość jej przedstawicieli uległa czarowi łatwizny, bezwładu, automatyzmu, jeśli nie wygodnego izolowania się od nieprzyjemnych wstrząsów.

Dla tego dla milczenia tych pisarzy nie ma żadnych okoliczności łagodzących, a oskarżenie to jest dla nich tym bardziej tragiczne, ile że godzi w samą istotę ich powołania pisarskiego. „Przeraża mnie milczenie — pisze prof. Z. Szymanowski w „Robotniku" — tych, o których wiem, że gwałty potępiają. Nie wierzę, ażeby nas była taka garsteczka. Trzeba się zdobyć na większą odwagę w wypowiadaniu swego zdania. Polsce grozi straszliwy zalew ciemnoty i barbarzyństwa wszelkiego rodzaju. Muszą się ocknąć ci,którzy temu niebezpieczeństwu chcą stawić czoło. Potrzeba na to przede wszystkim męstwa...".

Zalman Szneur*)

SPARTACUS

Heroje!
Cienie murzenne, widy wspomienne! . .
Duchy wy moje!..
Gdzież mi odnaleźć w dziejowej kurzawie,
W lat zawierusze . .
Ślad waszych stóp? Wasze dusze?...
Niechaj w podzięce ich mary ożawię!...
Niech wasze prochy minione rozelśni
Dźwięk mojej pieśni!...
Gdzież dzisiaj duch wasz, heroje?...
Może rozperlił go ranek w zieleni?
Może go słota śpiewała jesieni?...
Może się w piaskach pustkowia rumieni?...
Dusze Królewskie!...
Wyście wszak za mnie ginęły śród boju!
Zadrżał przed wami ciemiężca złooki —
Wyście orężem targnęły na mroki —
W Imię WIELKIEGO POKOJU!
W imię tych ludzi—baranków bez słowa,
Którzy swą wełnę i krew swą i serce
Krwawym oddali tyranom, szydercom —
Jeno dla trawy i paszy —
Jeno dla chwili żywota —
Jeno dla śmierci w paszczękach brzuchaczy!...

Gdyby nie Ty, mój Spartaku —
Gdyby nie Tobie podobni —
Twoi rycerze potomni,
Woje z pod orła znaku —
Gdyby nie duch wasz promienny —
Gdyby nie miecz wasz płomienny —
Który tyranom urągał — tronem ich zatrząsł na górze,
Wolnych rozpętał burzę —
W sług otępiałym sercu,
Którzy wszak dotąd bez skargi
W klatkach ginęli — w pożarze —
Biedni, wyśmiani nędzarze —
Kim dzisiaj byłbym, Spartaku?
Ja, syn Narodu Niedoli?...

Wiem: niewolnikiem, przecichym, pokornym w bolesnym milczeniu,
Albo siłaczem rozrosłym, o mięśniach atle... ty bez myśli...
Bluzgałbym krwią na arenie ku matron uciesze i ludu.
Dzierżyłbym w ręku ochłapy, wydarte z przyjaciół mych piersi...
Albo człowiekiem — kobyłą i dźwigałbym grzechy mych panów,
Potembym z pianą na ustach gdzieś runął na środku mej drogi:
Tłumby rechotał radosny u mego wezgłowia w posoce..

Wielki rycerzu!
Serc zapleśniałych oraczu!...
Siewco promiennej swobody!...
Oręż Twój drogę oznaczył —
Spójrz w Galilei — ów Żyd — Ecce homo —
Głosił swą Prawdę, swą Wolność wyśnioną —
Miłość dla przyszłych pokoleń obwieścił
Obcą Twoim rówieśnym!...
Dzisiaj Spartaku, wracają Twe wieki —
Powiew ponury, straszliwy, daleki!
Dumni ciemiężcy — nieszczęśni poddani,
Mrokiem spowici — rozpaczą owiani —
Świat — jako dawniej areną — krew tryska!
Dzisiaj już walczy nie Lud, lecz artysta,
Walczą geniusze o jadło i picie —
Dusze szlachetne o światło i życie...
Znowu, jak ongi, w przestronnym teatrze
Możni zasiedli i łby najbogatsze —
Znowu zajęli swe loże na górze
Brzuchy opasłe w obleśnej purpurze —
Szyje wytknęli i zwarli się blisko:
Co za igrzysko! Co za igrzysko!...
Cieszy się gawiedź i szał ją owiewa:
„Spójrzcie, już leży! Już krwią się zalewa!..."
Tłuszcza się cieszy urąga i szydzi —
Walczą bezbronne narody i Żydzi:
Śledzą ich króle łaskawe lecz zbrojne —
Rządy, jak stare matrony dostojne,
Patrzą przez szkiełka, lorgnony i lupy:..
(W dole padają wciąż trupy i trupy)...
Pieszczą się w łożach, wzdychają — bezpieczne —
Dziewki wszeteczne!...
Wielki Spartaku!...
Nic to, że duch Twój na krwawym ich szlaku
Rozprysł jak popiół, jak wicher po świecie —
Jeszcze ich burzą piorunną zamiecie —
Jeszcze ich wszystkich poniesie, jak burza,
W krwi ich się nurza!...
Serca narodów spopieli płomieniem —
Wieszczym natchnieniem!...
Krzywda wiekowa rozbudzi się w gniewie:...
Gromem zabłyśnie w krwawiącej ulewie,
Jako ów mak, pośród kwiecia się mieni —
Więdnie z chmurami płaczącej jesieni
I pada —

Lecz biada!!...
Biada, bo jako ów proch rozsypany
Z następnym latem
Znowu szkarłatem
Wybuchnie na łany
Krwawy zwycięzca!...
Święte, płomienne są słowa Twej Księgi —
Rozkaz zuchwały dla przyszłych pokoleń —
„Walczcie do grobu, do szczytu potęgi —
Gińcie z wawrzynem zwycięzców na czole!..."
Hasła — to przystań przygodna dla dziejów —
Prawdy — to namiot niepewny na wietrze —
Bogi — światełka nad głuchą zawieją,
Przyszłość nadciągnie i w proch je rozetrze.
Płyną za sobą zbłąkane jak gwiazdy —
W pustce bezkresnej wszak nic nie znalazły...
Wstań, i o świcie pod jednym namiotem
Szukaj w nim prawdy i ruszaj pod drug
Znajdziesz w nim światło zwiń namiot a potym
Dalej, rycerzu, bój wieków twój długi!..
Spoczniesz po latach na prawdzie i pięknie.
Serce ze szczęścia zapłacze i... pęknie!...

Zawsze gdy wzbudzim się z świtem przełomu.
Przetrzem powieki po sennym widzeniu —
Ruszym z namiotu w dom inny, a z domu
W pałac przejasny wiecznego natchnienia —
Ciebie wspomnimy, Spartaku, śród pieśn
Twoi potomni i Twoi rówieśni —
Runą potwory ciemności i strachu —
Zemsta jak sztandar nad nami łopoce . .
Jak duch wasz przeczysta, jak niebo wieczysta —
Jak promień w pomroce —
Wielki Spartaku!

Z oryginału hebrajskiego przełożył
SALOMON DYKMAN.

**) Dn. 11. lutego br. przypada 50-lecie urodzin wielkiego poety hebrajskiego. Twórczość Zalmana Szneura omówimy w osobnym artykule. — Redakcja.*

CIEKAWE DEBIUTY

Żywe zainteresowanie wywołała ostatnio w kołach literackich książka *Henryka Worcella:* „Zaklęte rewiry". Treści jej, zaczerpniętej z środowiska restauracyjnego i życia kelnerów, młody autor narzucił dużą ostrość widzenia i wnikliwość charakteriologiczną.

Aluzje do Marcela Prousta robi krytyka przy omawianiu książki *T. Brezy:* „Adam Grywałd". Brak wyraźnej konstruckji i motywu przewodniego zastępuje tu ciąg osobistych wynurzeń postaci, sięgających czasem najgłębszych warstw ich życia. „Proustyzm" autora tkwi właśnie w tym, że opiera on budowę powieści o szczegółowe i wnikliwe autorelacje postaci.

Jasność budowy i świadomość jej założeń cechuje debiut powieściopisarski *Józefa Kisielewskiego* pt.: „Powrót". Treść powieści umiejscowiona w atmosferze prowincjonalnej w której duże napięcie śmieszności i wstecznictwa nie tłumi jednak w autorze obiektywizmu realisty.

POWIEŚĆ O PROWINCJI.

Prowincji galicyjskiej poświęcona jest powieść debiutującego Sydora Reya, p. „Kropiwniki". Autor usiłuje w niej odtworzyć starcie młodych buntowniczych elementów prowincji z zachowawczymi siłami, którym udaje się jednak przeforsować swoje „racje" w różnych postaciach, dając jednak zarazem dowód kruchości swoich zasad.

ANTENA ŚWIATA

O CZYM MÓWIĄ I PISZĄ NA SZEROKIM ŚWIECIE

Wywiad z Camille Huysmanem o Hiszpanii.

Prezydent belgijskiego parlamentu, Camille Huysman, który powrócił na czele belgijskiej delegacji parlamentarnej z Madrytu do Walencji, złożył po zwiedzeniu szeregu frontów przedstawicielowi „Agence Espagne" następujące oświadczenie:

„Głosowałem za wnioskiem o nieinterwencji, lecz tylko pod warunkiem, że nieinterwencja ta przestrzegana będzie przez Niemcy, Włochy, i inne państwa. Wystarczy tylko zwiedzenie frontu madryckiego, aby sobie w zupełności zdać sprawę, że interwencja niemiecko - włoska przyjęła takie rozmiary, iż kwestia wszelkich dalszych dowodów jest wprost śmieszna. Pocóż żądać jeszcze dowodów, skoro burzenie Madrytu tak jawnie tę interwencję potwierdza".

Na pytanie, o jakich środkach myśli obecnie, Huysman odpowiedział:

„Gdy Niemcy wkraczają i to jawnie wkraczają, niemożliwe jest odmówienie rządowi hiszpańskiemu również w przyszłości dostawy broni".

Huysman z ciepłem wyraził się o wniosku hiszpańskich związków robotniczych o zwołanie międzynarodowej konferencji dla popierania rządu madryckiego. Uważa, że w skład tej konferencji wejść winny wszystkie antyfaszystowskie organizacje na świecie.

Belgijski prezydent parlamentu jest głęboko przekonany, że Franco nie zwycięży. Wojna trwać może jeszcze dwa lata, jednakże Franco nie wyjdzie z niej zwycięsko.

Na pytanie, czy konflikt hiszpański wywołać może wojnę międzynarodową, Huysman wzruszył ramionami i odrzekł:

„Gdy się ma do czynienia z wariatami, jakżeż można bawić się w przepowiednie?".

O ustąpieniu Vandervelde'go.

W „Populaire" zajmuje się André Lerou głębszymi przyczynami wystąpienia leadera socjalistów belgijskich, Vandervelde'go z gabinetu van Zeeland'a.

Pisze on:

Obojętne jest, jaka jest bezpośrednia przyczyna dymisji Emila Vandervelde'go, w każdym razie stanowi ona finał różnicy zdań, która datuje się jeszcze od czerwca ubiegłego roku, gdy utworzony został drugi z kolei gabinet van Zeeland'a. Jako wódz partii, Vandervelde w żadnym razie nie był zbudowany możliwością kontynuowania „eksperymentu Zeeland'a" przy współudziale socjalistów. Życzył sobie, aby na wszelki wypadek partia miała w swym przyszłym postępowaniu większą swobodę ruchów. Vandervelde przyjął wszakże mimo to tekę w nowym gabinecie, albowiem jego zdaniem zagrażał poważnie koalicji, za którą wypowiedziała się duża większość Rady Naczelnej Partii Socjalistycznej Belgii. Ale wobec wytworzonej sytuacji wydaje się, że różnice zdań zachodzą nie tylko między Vandervelde'm a van Zeeland'em, lecz także między Vanderveldem a innymi socjalistycznymi ministrami. Wybór Spaak'a na ministra spraw zagranicznych jest bezsprzecznie z góry obmyślonym planem. Albowiem, skoro usuwa się kandydaturę Vandervelde'go, oznacza to, że usuwa się jego politykę. Pierwsze przemówienie Spaak'a zapowiedziało ważną zmianę w polityce zagranicznej Belgii, zmianę, która odnosi się zarówno do przymierza z Francją, jak i do gwarancji Belgii w pakcie lokarneńskim. Polityka hiszpańska wystawiła dyscyplinę i poczucie odpowiedzialności Vandervelde'go na ciężką próbę. W sprawie dostawy broni rządowi madryckiemu, a później w sporze, który powstał między Brukselą o Walencją w związku z zamordowaniem na froncie madryckim barona de Borchgrave, — stanął Vandervelde więcej niż w konflikcie z rządem. Ustąpienie jego było zatem nieuniknionym zakończeniem różnicy zdań i tego „kryzysu sumienia", o którym van Zeeland szczerze wspomniał w swym senackim przemówieniu.

Japonia a Islam.

Korespondent „The Indian Review" podaje ciekawe wiadomości o zainteresowaniu Japończyków dla Islamu. Informacje te przytaczamy.

„Gdy bawiłem z początkiem 1936 r. w Japonii, uderzyło mnie wielkie zainteresowanie Japończyków dla Islamu, objawiające się w budowaniu licznych meczetów. Przed wojną światową nie było w Japonii ani jednego muzułmanina. Obecnie jest ich już to spora ilość. W Tokio założono seminarium muzułmańskie, na którego czele stoi imam Khurbangali, cieszący się wielkim mirem w japońskich sferach rządowych. Stąd rozchodzi się po całym kraju literatura i nauka Islamu. Przed wojną światową trudno było o Japończyka, któryby znał język arabski, perski lub turecki; na uniwersytetach japońskich nie było ani jednej katedry kultury islamskiej.

Obecnie Japończyków, znających wymienione języki, jest już stosunkowo wiele, a także na uniwersytetach spotykamy liczne katedry dla spraw Islamu.

Skąd się bierze zainteresowanie Japończyków dla Islamu? Czy pociąga ich naprawdę nauka Mahometa, czy znajdują w niej odpowiedź na dręczące ich zagadnienia moralno-religijne? Wątpliwe! Japończycy są zbyt praktyczni, aby się mieli dręczyć sprawami religijnymi. Przed r. 1868 państwową religią Japonii był buddyzm. Podczas Restauracji w r. 1868 państwową religią ustanowiono szintoizm. Nie dla tego, aby szintoizm miał przewyższać pod względem etycznym naukę Buddy, ale dla tego przede wszystkim, że szintoizm miał zabarwienie narodowe i sprzyjał rozwojowi uczuć patriotycznych. Kilka lat później powołano nawet do życia komisję dla zbadania, która religia z punktu widzenia interesów świeckich najlepiej nadaje się dla Japonii. Japończycy skłonni byli nawet porzucić wówczas swój język narodowy, gdyby od tego zależało tempo modernizacji kraju. Religią Japończyków nie jest bowiem ta lub inna nauka, lecz jedynie i wyłącznie nacjonalizm.

Jeśli tedy Japonia interesuje się obecnie Islamem, to czyni to oczywiście dla tego, że spodziewa się po nim wzmocnienia swoich interesów narodowych. Japończycy są przekonani, że, udzielając w swoim kraju poparcia Islamowi, pozyskają sympatię 300 milionów mahometan w Azji i Afryce, co im umożliwi: 1) zdobycie rynków zbytu we wszystkich krajach Islamu, 2) wysłanie japońskich instruktorów wojskowych do tych krajów oraz 3) propagandę haseł panazjatyzmu przez profesorów japońskich w szkołach muzułmańskich.

Pierwsze kroki w tym kierunku zostały już poczynione. Skoro tylko proklamowana została Republika Turecka, Japonia, która dotychczas nie posiadała w Turcji swego przedstawiciela dyplomatycznego, wysłała tam swego ambasadora i urządziła wystawę przemysłu japońskiego w Istambulu. Ostatnio Japonia założyła w Turcji tkalnie i przędzalnie oraz zbudowała kilka krążowników dla floty tureckiej.

W Kabulu powołana została do życia afgańsko-japońska izba handlowa. Na czele pierwszej japońskiej misji handlowej do Kabulu stanął muzułmanin. Studenci arabscy otrzymują w Japonii bezpłatną naukę i utrzymaie. W japońskich szkołach kadeckich kształci się spora ilość Irańczyków. Rząd afgański sprowadził z Japonii wielu inżynierów, profesorów i instruktorów wojskowych, a nie zadługo uczyni to zapewne także i rząd irański.

Hitlerowska Ewangelia Św. Jana

„Niemiecka" ewangelia Św. Jana ukaała się nie dawno jako pierwsza „rata" wydawanego przez „niemieckich chrześcijan" przekładu Biblii. Przekład ten ma na celu przystosowanie Pisma Św. do poglądów narodowo-socjalistycznych udostępnienie go w nowej postaci „niemieckim chrześcijanom".

Kierującym umysłem w tym przedsięwzięciu jest biskup bremeński, Dr. Weidemann jeden z tych nielicznych duchownych niemieckich, którzy wierzą w możliwość sharmonizowania zmodyfikowanej nauki Chrystusa z nazistowskim światopoglądem, opartym na zasadzie „krwi i ziemi".

Pierwsze wrażenie, jakie uderza przy czytaniu przekładu, to niewątpliwie jego antyżydowski charakter, posunięty do najwyższych granic śmieszności. Powoływania się w tekscie oryginalnym na Mojżesza, jako na prawodawcę zostały w przekładzie opuszczone, a prorocy żydowscy są w ogóle pominięci.

„Niemieccy chrześcijanie" pocieszają się np. tym, że Galilea nie jest krajem czysto żydowskim. W związku z tym konsekwentnie się ją oddziela od Judei, która w przekładzie nazistowskim nosi nazwę „Judenlandu" (kraj żydowski).

Tłumacze starją się troskliwie podkreślić różnicę między Żydami a Jezusem i Jego uczniami i dążą przy tym do modyfikacji ewangelii w tym sensie, że życie Jezusa było ciągłą walką przeciwko Żydom. Wydawcy spodziewają się, że ich praca spotka się zapewne z krytyką, lecz nie zrażają się tym. A jak pisze biskup bremeński: „niech się bodaj zwolennicy krytyków wściekną, my dążymy tą drogą do niemieckiej prawdy".

Wybory w Indiach

W Indiach Brytyjskich rozpisane zostały wybory do ciał ustawodawczych. Aczkolwiek daty tych wyborów różne są dla każdej prowincji, muszą być one zakończone wszędzie w końcu bieżącego miesiąca.

W jedenastu prowincjach kraju mają być obecnie wybrani delegaci do Zgromadzeń Ustawodawczych, a w sześciu z nich także delegaci do izb wyższych, t. zw. Rad Ustawodawczych.

Wielkie zainteresowanie wyborami znajduje swój wyraz przede wszystkim w polemice, jaka się toczy między poszczególnymi ugrupowaniami politycznymi dookoła kwestii, czy nowa konstytucja jest w ogóle dla Indii pożądana.

Na ogólną liczbę 1585 mandatów do Zgromadzeń i 260 do Rad kandyduje około 5000 osób. Liczba wyborców sięga około 30 milionów, w tym 5 milionów kobiet.

Jedynym dobrze zorganizowanym obozem politycznym w skali ogólnoindyjskiej jest t. zw. Partia Kongresowa, przeciw której uprawiają opozycję pomniejsze ugrupowania. Skupia ona jednakże w swych rękach całą propagandę wyborczą, mając do dyspozycji liczną prasę ludową.

Partia ta usiłuje rozszerzyć ramy ruchu narodowego przez przyciągnięcie doń mas chłopskich. Ostatnie bowiem doświadczenie polityczne wykazały niezbicie, że zarówno inteligencja miejska, jak i stan średni, już się przeżyły, a przyszłość należy niewątpliwie do wsi hinduskiej.

Ta nowa orientacja została zainspirowana przez Gandhiego na sesji Kongresowej w Bombaju w r. 1934, kiedy to Mahatma sam postanowił wycofać się z czynnej pracy partyjnej, by móc cały swój wysiłek poświęcić pracy społecznej na wsi.

Również Pandit Nehru nieco później oddał się pracy propagandowej wśród szerokich mas wiejskich.

Polityka ta ma tę wielką zaletę, że umożliwia różnym elementom w ramach partii pracę dla wspólnego celu. Hasło: „Frontem do wsi" i podkreślenie społecznego zanczenia wrzeciona zjednoczyć mają poróżnione elementy partyjne w pracy dla „purna swaraj" t. j. całkowitej niezawisłości.

„Unia" platynowa

W obecnym stanie techniki precyzyjnej platyna jest niezbędnym elementem dla wyrobienia pewnych rodzajów broni i ma również zastosowanie w produkcji radiowej.

W związku z tym wszczął nie dawno temu alarm japoński minister wojny, podnosząc, że w Japonii jest zbyt mało tego drogocennego metalu. Niezwłocznie utworzyło się prywatne zrzeszenie „platynowców", które przyjmuje jako członków czynych tylko takie osoby, które się zobowiążą nie nosić innych klejnotów, jak tylko oprawne w platynę.

Założyciele tej oryginalnej i nawskroś patriotycznej organizacji mają nadzieję, że jeśli co dziesiąty japończyk podda się temu warunkowi i przystąpi do unii, — to Japonia nigdy nie zazna „głodu" platyny.

Przezorność ta nie wróży... pokoju na świecie.

Łąki im. Króla Jerzego V.

W związku z pierwszą rocznicą śmierci króla Jerzego V powstał w Anglii komitet uczczenie Jego pamięci. W prasie angielskiej pojawiła się nie dawno odezwa pod hasłem: „daj zlecenie swemu bankowi", w której ludność W. Brytanii wzywana jest do składania dobrowolnych ofiar. Zebrane tą drogą fundusze przeznaczone być mają na zazielenie całego kraju, wszystkich jego tak bardzo zadymionych miast i miasteczek. W ten sposób najuboższe dzieci, znające dotąd tylko ulice miast i zakurzone drogi miejskie, otrzymają zazielenione miejsca dla zabaw, gdzie odzyskają humor i zdrowie.

Na apel ten odpowiedziała ludność całego kraju z niezwykłą serdecznością i pośpiechem.

Królowa Mary zezwoliła na sfilmowanie rodziny Królewskiej w Maelborough House celem wyprodukowania filmu propagandowego dla Funduszu Uczczenia.

Wstępna zbiórka przyniosła już 400 tys. f., a sądząc z gorliwości ofiarodawców, można się spodziewać napływu dalszych olbrymich sum.

Stulecie grypy

O tym, że choroba zwana grypą, trapiła Europejczyków jeszcze sto lat temu, znajdujemy następującą wzmiankę w „Times" z 1837 r., zatytułowaną „Influenza":

„Prywatne listy z Kontynentu donoszą nam, że epidemia grypy czyi influenzy panuje tam silniej, niż gdziekolwiek indziej. W Paryżu grasuje ona w stopniu niebywałym; nie ma tam chyba domu, gdzieby jakiś członek rodziny nie był tą chorobą dotknięty. W niektórych dzielnicach stolicy, położonych nad brzegami Sekwany, śmiertelność jest zastraszająca, szczególnie zaś wśród ubogiej ludności, zamieszkującej przedmieścia Św. Antoniego i dzielnicę Św. Jakuba. Ilość ofiar epidemii sięga tu 80—100 dziennie. Szpitale są przepełnione. Choroba jest również w dużym stopniu rozpowszechniona wśród oddziałów. garnizonu wojskowego.

Wydział Medyczny w Paryżu nadał epidemii nazwę „la grippe" w konsekwencji gwałtownych skurczów, jakie choroba ta wywołuje u pacjenta, wraz z towarzyszącym jej bólem gardła, wielką trudnością oddychania i zapaleniem płuc. Powoduje ona również konwulsje i duszności.

W Calais i Bologue większość angielskich obywateli padła ofiarą tej choroby.

W Szwecji szaleje grypa z wielką gwałtownością.

Donoszą nam również z Berlina że i tam około 40.000 osób dotkniętych jest grypą".

Wzmianka, jak widzimy, bardzo dziś na czasie...

(L—y).

Z WYSTAW

Wystawa obrazów Natana Szpigla w Żyd. Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych (Królewska 16).

Wystawa. obrazów Natana Szpigla w Żyd. Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych jest przede wszystkim żałosnym przykładem braku samokrytycyzmu artysty. Zdolny ten, rokujący poważne nadzieje dalszego rozwoju, malarz uznał za właściwe nadesłać około stu prac, z których co najmniej trzy czwarte powinny były pozostać w jego pracowni. Jest rzeczą oczywistą, iż niemal każdy malarz obok prac dobrych daje prace słabe, a nawet całkiem nie udane.



Staruszka akwarela

Zadaniem krytyki jest właśnie zwrócić uwagę widza na prace „dobre", gdyż te tylko w zasadzie stanowią obiektywne kryterium twórczości artysty. Lecz chyba i wystawcę pewne kryteria, choćby najbardziej liberalne, obowiązują. Nie można, jedynie gwoli wypełnienia ścian, nadsyłać prac nie przemyślanych, rozpoczętych, lub tak sobie „machniętych". Tak się bowiem złożyło, że obecna wystawa jest właściwie przypadkową, chaotyczną zbieraniną prac Szpigla, które to prace, na domiar złego, porozwieszano i poustawiano wręcz horendalnie, w kilku rzędach, niemal od sufitu do podłogi. ciasno, gęsto, bez ładu, planu, bez sensu. Tego rodzaju kramik obniża nie tylko powagę instytucji, jaką jest Żyd. Tow. Krz. Sztuk Pięknych, ale godzi niesłusznie w pierwszym rzędzie w dobre imię Szpigla, dezorientując. i zniechęcając mniej cierpliwego widza.

Wśród tego rozgardiaszu wyróżnia się jednak kilkanaście prac, których artystyczne walory są bezsprzeczne. Są to akwarele, świadczące o odrębnym i rzetelnym stosunku artysty do tej pozornie łatwej dziedziny malarstwa.

Szpigel operuje w akwareli zazwyczaj w skali dwóch, trzech zasadniczych kolorów, które dopiero różniczkuje, dając w rezultacie jednostajne tonacje w granicach danej barwy. Malarskie widzenie świata jest u Szpigla na ogół wrażeniowe, stąd zamiłowanie do ruchliwej, szarpanej, impresjonistycznej, naświetlonej plamy. Do najbardziej bezpośrednich i osobistych prac artysty należy zaliczyć „Portret Szpiglowej", „Kobietę i beczułkę". „Okno", „Martwą naturę". W pracach tych Szpigel trafnie podkreśla fakturę i specyficzne właściwości akwareli, w przeciwieństwie do innych akwarel, w których dostrzegamy dziwaczną infiltrację techniki olejnej.

Malarstwo olejne Szpigla, nie zdefiniowane w barwie, ani w ujęciu kształtu, ponad to w każdym niemal obrazie formalnie inne — zdaje się świadczyć. iż Szpigiel jeszcze poszukuje własnej koncepcji plastycznej.

Eles.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa